



WSS

mata

W R O N I K A

http://www.in.cool



NARODZENIE
(Florencja, Galeria Uffizi)

Fra Filippo Lippi

CZYTELNIKOM „MAŁEJ KRONIKI“
NAJLEPSZE ŻYCZENIA NOWOROCZNE
<http://sklada.pl> REDAKCJA

MAŁA KRONIKA

D W U T Y G O D N I K

Nr. 1

6 STYCZEŃ 1946 R.

ROK I

ROZKAZ ŚWIĄTECZNY DOWÓDCY 2. KORPUSU

Żołnierze!

Święta Bożego Narodzenia 1944 roku obchodziliśmy w ogniu bitew, w zbrojnym marszu do Polski.

Bitliśmy wroga, który nam drogę zagradzał.

Traciliśmy wielu najlepszych i najdzielniejszych, lecz parliśmy naprzód z entuzjazmem w sercu, bo na ostrzach naszej broni nieśliśmy Ojczyźnie Niepodległość, rodakom — wolność myśli, słowa, pracy, zrzeszeń i sprawiedliwość społeczną; nieśliśmy pokój wszystkim ludziom dobrej woli.

Bez własnej winy nie dopięliśmy jeszcze do celu.

I oto Święto Narodzin Zbawiciela w 1945 roku, święto Rodziny, święto tak pięknie u nas obchodzone, spędzamy znowu na obczyźnie.

Zadanie nasze nie skończone — Naród Polski wolności nie odzyskał i nadal o nią walczy.

Nasza obecność jako zwartych szeregów Polskich Sił Zbrojnych wiernych przysiędze żołnierskiej, wierznych Rzeczypospolitej, poza granicami daje nam możność obrony otwartej, możność głośnego upominania się o Niepodległość Ojczyzny, możność jawnego wskazania na gwałty nad nią popełnione.

Hamuje ona i nie pozwala na otwartą i brutalną eksterminację, jaka jest potrzebna wrogom Polski, aby podporządkować sobie Naród Polski pozbawiony wolności — dla swoich celów.

Walka trwa, ale nie jest to walka orężna. A ciężki to los dla żołnierza trwać i nie działać właściwym mu sposobem, patrzeć z dala na poniewierkę Narodu, stać samemu pod ogniem oszczerczych i kłamliwych słów, a nie móc odpowiedzieć prostym, żołnierskim czynem.

Czas taki wymaga hartu i woli, większych niż te, których potrzeba w najcięższym nawet ogniu wojny.

Lecz jasna świadomość celu daje nam tę siłę. Wiara w słuszność, sprawiedliwość i skuteczność naszej walki — powiększa ją.

Wraz ze świętami Bożego Narodzenia zbliża się Rok Nowy,
Rok 1946.

Może on nam przynieść ciężkie jeszcze próby, ale za nimi kryje się zwykłe — zwycięstwo.

Żołnierze!

Wytrwałości Waszej sprawa polska już dziś zawdzięcza to, że powoli otwierają się oczy Zachodu na gwałt jaki dokonuje się nad Ojczyzną naszą.

W chwilach trudnych, które mogą nas jeszcze nachodzić, pamiętajcie, że my zbrojni i wolni zatwierdzić jesteśmy najsilniejszym oparciem dla milionów, protestujących wraz z nami Polaków. I dla tych, którzy walczą wraz z nami na obczyźnie i dla tych którzy walczą w milczeniu w Kraju.

Cała Polska Walcząca czerpie natchnienie i siłę z Waszej postawy.

Zyczę Wam byście święto Narodzenia Chrystusa spędzili w pogodzie ducha, a w nadchodzącym roku utrzymali nadal twardą nieustępliwość, hart i wolę wytrwania, gdyż tylko one zdolne są do prowadzić nas do Wolnej i Niepodległej Ojczyzny.

W polu, dnia 24 grudnia 1945.

DOWÓDCA 2. KORPUSU

(—) ANDERS, GEN. DYW.

WALKA TRWA

Po wielkich wysiłkach wojennych, po potężnych przeżyciach, które były bohaterstwem wielu i ogromnym cierpieniem tysięcy, nastał dla nas, tych Polaków, którzy znaleźli się na obczyźnie, czas dni szarych i powszednich. Żołnierze czy cywile, żyjemy wolni i bezpiecznie, a troska o chleb codzienny na ogół nie przysłania naszych serc tym wielkim, dobrze pamiętnym każdemu, kto go przeżył, ciężarem.

Po przerwaniu działań wojennych, gdy nie ma już walk, przesuwania się frontów i nieustannych zmian położenia, gdy wszystko nie jest już obecnie płynne, nastąpiła względna normalizacja naszego życia. Ale ta normalizacja właśnie, która daje nam czas na rozważanie i pozwala myśleć o urządzaniu naszego codziennego życia na obczyźnie, odsłania szczególnie jasno nienormalność naszego położenia. Żyjąc szarym życiem codziennym,

czujemy tym mocniej tęsknotę za krajem i nienaturalność tego, że musimy pozostawać poza jego granicami. Spokojne życie na wygnaniu rodzi więcej myśli i uczuć ponurych, niż okres walk i zmagania. Ciągłe zmiany okresu wojennego, coraz nowe, szybko idące po sobie wypadki ułatwiały żywienie nadziei i posiadanie wiary w ostateczne zwycięstwo. Kiedy z dnia na dzień wszystko się zmieniało, łatwo było spodziewać się, że wkońcu wszystko zmieni się na lepsze.

Na okres, który nadchodzi, trzeba będzie mieć wiarę głębszą i trwalszą, mocniej ugruntowaną, gdyż siłę wytrwania i jedność naszej społeczności narodowej zagranicą będzie znacznie trudniej utrzymać. Łatwiej jest o wielkie i bohaterskie porywy w akcji wojennej i w działaniu, niż o codzienny wytrwały wysiłek, skierowany do odległego celu. Tak łatwo gubi się go z oczu wśród drobnych czynności powszednich, tak trudno jest nie zmylić kierunku, tak łatwo jest dać się zwieść z dobrej drogi obcym podszeptom, które czekają tylko na nieuniknione chwile słabości.

Musimy przede wszystkim pamiętać zawsze o tym, jaki cel mamy przed sobą i dlaczego jego osiągnięcie wymaga naszego pozostania zagranicą. Nie pozostajemy tutaj dlatego, żeśmy tu bezpieczniejsi i że mamy w tej chwili co jeść — więcej niż mielibyśmy w Polsce. Pozostajemy tu jedynie dlatego, że tylko na obczyźnie można dzisiaj toczyć otwartą i jawną walkę o wyzwolenie Polski. I jeśli jesteśmy tu wolni i korzystamy z dobrodziejstw tego świata wolności, w którym żyjemy, to prawo moralne do tego przywileju zależy od użytku, jaki z niego zrobimy. Zależy od tego, czy potrafimy również w okresie nadchodzącym prowadzić dalej wytrwałą i nieustanną walkę o przyniesienie wolności Polsce. Dla każdego z nas wypędzenie sowieckiego okupanta z Kraju jest wielką ogólną sprawą całego narodu i zarazem osobistą, rodzinną sprawą zapewnienia wolności, dobrobytu i bezpieczeństwa naszym najbliższym. Bo u nikogo w

domu nie może być wolności i szczęścia, jeśli go nie będzie w ojczyźnie.

Nie wiemy jak długo będzie trwało nasze wygnanie, ale nie wolno nam nigdy zapominać o tym, że to jest stan nienormalny i przejściowy. Całe nasze życie na obczyźnie musi być nastawione na wyzwolenie Kraju i związane najściślej z tym wszystkim, co dzieje się w Polsce. Każdy człowiek, znajdujący się na świecie wolności, musi sobie zdawać sprawę, że zaciągnął dług wobec ziemi, którą opuścił i jedyną racją uzyskanej w ten sposób wolności, jedynym użytkiem, jaki z tej wolności musi zrobić, jest przyniesienie jej z powrotem Ojczyźnie.

Polska jest pod okupacją i otwarta walka o jej wyzwolenie na jej ziemiach toczyć się nie może. Polska walcząca może dzisiaj mieć swoją siedzibę przede wszystkim na obczyźnie. Oszustami albo głupcami są ci, którzy namawiają nas na powrót pod okupację sowiecką, ponieważ każdy powracający w ręce władzy Bieruta skazuje na paraliż siebie samego, a pomniejsza siłę polskiego żywiołu na wolności, powołanego do dalszej walki, wymagającej możliwie największych sił.

Na czym opieramy naszą nadzieję wyzwolenia Polski i ostatecznego zwycięstwa, pomimo że działania wojenne ustały, zapanował pozorny pokój, a w kraju naszym rządzi okupant sowiecki bez sprzeciwu państw, związanych z nami sojuszami i demokratycznych? Czy ta nadzieja jest mrzonką nierealną i fantastyczną?

Przyszłości nikt przewidzieć nie potrafi, ale już dzisiaj jest zupełnie pewne i jasne, że wprawdzie oficjalnie działania wojenne ustały, ale przecież pokoju jeszcze nie zawarto i, co więcej, w Persji oraz na Dalekim Wschodzie rozgorzały nowe walki, które są niewątpliwym wyrazem głębokich i bynajmniej nie rozstrzygniętych konfliktów. Związek Sowiecki dąży do owładnięcia Persją przy pomocy „turystów” — zupełnie podobnie, jak czynił to kiedyś Hitler w Austrii i Czechosłowacji, ale po osiągnięciu tego celu na pewno się nie zatrzyma, lecz zabierze się z kolei do Turcji, którą już dzisiaj ma oto-

czoną od strony Bułgarii w Europie, od Azerbejdżanu w Azji i z odkrytym brzegiem Morza Czarnego. W Chinach walki wojsk komunistycznych przeciw narodowym armiom rządu centralnego i dramatyczna dymisja ambasadora Stanów Zjednoczonych w Czung-Kingu gen. Hurleya świadczą, że sytuacja nie jest bynajmniej ustabilizowana i bardzo daleka od stanu, który nazywamy pokojem. Tak samo nie ma pokoju w Europie. Okupacja wojskowa wielu krajów przez wojska sowieckie, co nie pozwala na wycofanie armii sprzymierzonych z resztą Europy, przepełnienie Niemiec, brak pewności politycznej we wszystkich narodach europejskich — wszystko to nie zasługuje niewątpliwie na nazwę pokoju. Jest to stan przejściowy, który w tym lub innym kierunku musi być zmieniony, ale z pewnością nie jest to pokój.

Zdają sobie też sprawę z tego mężowie stanu i szefowie rządów głównych mocarstw. Dlatego mówi się tyle o przedmiocie tak mało pokojowym, jak bomba atomowa, dlatego Prezydent Stanów Zjednoczonych Truman przypominał niedawno zasady wolności narodów, jako uznanego celu organizacji światowej, co bynajmniej nie jest dotąd urzeczywistnione, zwłaszcza w Europie i dlatego wreszcie mówi się coraz częściej o idei „jednego świata”, jako o koniecznej i nieuchronnej przyszłości. Dzisiejsza rzeczywistość na pewno „jednym światem” nie jest i przez nikogo tak rozumiana być nie może.

Otóż w tym okresie, który nie jest jeszcze bynajmniej pokojem, i w tym świecie wolności, który nie zwyciężył jeszcze całkowicie, a który czuje się coraz bardziej zagrożony imperializmem bolszewickim — my Polacy mamy wiele do zrobienia i mamy swoją rolę do odegrania.

Świat demokracji i wolności jest potężny i ma dość środków materialnych na to, aby swoje zasady zaprowadzić na całej kuli ziemskiej. Ma on jednak zbyt wielkie i przesadne poczucie bezpieczeństwa własnego oraz brak mu zdolności do zdecydowanego działania. Do nas przeto — Polaków, którzy znamy najlepiej niebezpie-

czeństwo idące na cywilizację od wschodu, należy uświadamiać świat wolności, w którym znaleźliśmy się, o rozmiarach tego niebezpieczeństwa, o jego istocie i o szybkości jego pochod. Do nas, wraz z innymi podbitymi przez Moskwę narodami, należy wykazywanie zachodnim mocarstwom, że same nie uchronią się przed zarazą czerwonej dyktatury i czerwonego teroru, jeśli nie zniszczą i nie wytepią zła u jego źródła, skąd na świat cały bije.

Zadanie to, do którego jesteśmy powołani dla dobra zarazem całej cywilizacji chrześcijańskiej jak i polskiego narodu, musimy spełniać rozsądnie, wytrwale, nie tylko wszędzie gdziekolwiek się znajdujemy, ale docierając do wszystkich innych krajów naszymi wpływami. Zadanie to nie może być spełnione jakimś krótkotrwałym, efektywnym i błyskotliwym wysiłkiem. Będzie to wymagać pracy systematycznej i codziennej, dobrze zorganizowanej i zakrojonej na daleką metę. Do takiej pracy trzeba przede wszystkim wytrwałości i charakteru, bo nikt nie może powiedzieć na pewno jak długo ona potrwa.

Są to właściwości, o które trudniej niż o bohaterstwo i wielkie czyny wojenne. Musimy je jednak wydobyc z siebie, jeśli chcemy dobrze spełnić zadanie, które nam przypadło, jeśli chcemy przywrócić Polsce Wolność i sami powrócić do Niej.

Andrzej Rusiło

„Polska w tej wojnie walczy nie tylko o byt i niepodległość ale i o wyższe cele. W ramach Karty Atlantyckiej, określającej cele wojenne Narodów Zjednoczonych, Polska ma swoje własne dążenia i konieczności dziejowe. Zagrożona powtarzającą się raz po raz agresją imperializmów, Polska musi mieć zapewnione bezpieczeństwo i możliwość spokojnej pracy na wiele pokoleń. Polska chce się rządzić według własnych zasad i praw. Ustrój przyszłej Rzeczypospolitej oparty będzie o wolność polityczną i sprawiedliwość społeczną”.

(Z Programu Rady Jedności Narodowej)

<http://rcin.org.pl>

ROK WIELKICH WYDARZEŃ I NIESPEŁNIONYCH NADZIEI

Złośliwe losy sprawiły, że w przebiegu wojny sojusznikami stały się dwa przeciwstawne sobie światy o krańcowo różnych światopoglądach. Z jednej strony W. Brytania, państwo o wysoko postawionej wolności osobistej obywatela i bojownicza prawdziwej demokracji, oraz jej młodsza siostrzyca — Stany Zjednoczone, a z drugiej ZSRR — państwo o ustroju totalistycznym, z wszystkimi dążeniami z ustroju tego wynikającymi.

Mocarstwa zachodnie jeszcze w pierwszej fazie wojny ogłosiły wytyczne swych ideałów w t.zw. Karcie Atlantyckiej i w imię tych ideałów wezwały wszystkie narody świata do wspólnej walki z totalizmem niemieckim, a następnie japońskim.

Dla celu uzyskania zwycięstwa, a może tylko dla celu przyspieszenia tego zwycięstwa, W. Brytania i USA zdecydowały się na ścisłą współpracę z ZSRR nie tylko na polu militarnym, ale i politycznym. Niestety współpraca ta polegała na prawie jednostronnych ustępstwach mocarstw zachodnich z ich założeń ideowych.

Pod znakiem tych ustępstw stało właśnie pierwsze wielkie wydarzenie polityczne 1945 roku, jakim była konferencja „wielkiej trójki” w Jałcie. Na konferencji tej ZSRR wystąpił z argumentem, że Rosja poniosła tak wielkie straty i ofiary w wojnie z Niemcami, iż ma prawo i musi domagać się zabezpieczenia przed ewentualnością nowej agresji niemieckiej. W tym celu, zdaniem Moskwy, konieczne jest poprawienie granic strategicznych i zainstalowanie w całej Europie Wschodniej i Centralnej rządów przychylnych dla ZSRR.

Mocarstwa zachodnie uznały ten argument za słuszny. Specjalnie boleśnie odczuliśmy to my, Polacy, gdyż w Jałcie zapadła decyzja co do naszych granic wschodnich oraz co do ustosunkowania się mocarstw do rządu lubelskiego.

Tymczasem wypadki wojenne w Europie zaczęły się toczyć z błyskawiczną szybkością.

Aż wreszcie nadeszła kapitulacja Niemiec i ustanie działań wojennych w Europie. Wojna światowa nie była jednak zakończona, bo na Dalekim Wschodzie Japonia ciągle jeszcze rozporządzała potężnymi siłami i nie myślała o kapitulacji.

W Europie natomiast można już było przystąpić do prowizorycznego ułożenia stosunków, przynajmniej na okres do zwołania konferencji światowej. Zajęła się tym nowa konferencja wielkiej trójki, która tym razem zebrała się w Poczdamie.

Konferencja poczdamska była jeszcze typową konferencją wojenną, z tym samym układem stosunków, jaki charakteryzował poprzednie spotkania wielkiej trójki. Ustalono na niej instytucję rady 5 ministrów spraw zagranicznych, która miała przygotować konferencję pokojową, uzgodniono wspólną politykę odnośnie Niemiec, wykreślono prowizorycznie zachodnie granice Polski, a ponadto dziś już wydaje się nie ulegać wątpliwości, że uzgodniono udział ZSRR w wojnie przeciwko Japonii.

W tydzień później ZSRR rzeczywiście wypowiedział wojnę Japonii, ale były to i tak ostatnie jej chwile. Za kilka dni Japonia skapitulowała i w dniu 15 sierpnia narody zjednoczone obchodziły uroczystość zwycięskiego zakończenia 2-ej wojny światowej.

W ostatnich dniach wojny z Japonią świat został zelektryzowany wiadomością o nowym wielkim wynalazku dokonany przez uczonych amerykańskich i brytyjskich: wynalazku wyzwolenia energii atomowej i jej pierwszym praktycznym zastosowaniu w postaci bomby atomowej.

Zbyt dużo pisało się o tym wynalazku, byśmy się nim bliżej zajmowali. Ograniczymy się jedynie do stwierdzenia, że musi on wpłynąć na gruntowną zmianę stosunków międzypaństwowych. Jeśli tajemnica bomby będzie się znajdować w rękach wszystkich państw, to automatycznie każda wojna musi przynieść zagładę cywili-

DZIŚ

Przyszłość ?

Polska walcząca
Wola żołnierza

Sowieccy agenci
Ostatni akt polskiej tragedii
na naczelnych stanowiskach
„Porządek” panuje w Polsce
Protest Rządu Polskiego
Proces norymberski
ZA... KATY
ZIEMIE POLSKIE NA ZACH
SA PUSTYNIĄ
utrącone ziemie wschodni

epokowy wynalazek

Z.S.R.R.

pod broń

Lista zbrodniarzy wojenn

Zapalne punkty świata

KRYZYŚ BAŁKAŃSKI

nacisk na Persję

NA DALEKIM WSCHODZ

Atak sowieckiej prasy na Turc

Uwaga! Uwaga!

Co slychać?

<http://rcin.org.pl>

zacji. Wypływałby stąd prosty wniosek, że zanim wynalazek ten zostanie rozpowszechniony, należy wszelkimi siłami dążyć do stworzenia takiego układu stosunków międzynarodowych w którym wojny stałyby się niemożliwe i niepotrzebne. Jasne jest, że układ taki musiałby się opierać na powszechnej sprawiedliwości i poszanowaniu wolności człowieka i narodów. Inicjatywa w tym kierunku stała się już nie tylko przywilejem, ale i obowiązkiem posiadaczy tajemnicy.

W tych nowych warunkach odbyła się w połowie września w Londynie pierwsza po wojnie międzymocarstwowa konferencja. Było nią spotkanie 5 ministrów spraw zagranicznych, którzy mieli opracować umowy pokojowe z szeregiem państw oraz przygotować przyszłą konferencję pokojową. Rozmowy londyńskie zakończyły się niepowodzeniem i zostały przerwane na skutek zasadniczej różnicy zdań między delegacją ZSRR z jednej strony a delegacjami USA, W. Brytanii, Francji i Chin z drugiej. Różnice te okazały się tak wielkie, że współpraca międzymocarstwowa w ogóle stanęła pod wielkim znakiem zapytania.

W tym stanie rzeczy inicjatywę ujęły w swe ręce Stany Zjednoczone i W. Brytania. Prezydent Truman wygłosił w dniu 27 września wielkie przemówienie, w którym wezwał wszystkie narody do zgodnej współpracy, precyzując 12 punktów, według których współpraca ta powinna się ułożyć. Powtórzymy tylko najważniejsze: zmiany terytorialne powinny być możliwe jedynie za zgodą swobodnie wyrażonej woli zainteresowanych stron, wszystkie narody powinny mieć swobodę wyboru swych rządów, powinna być zapewniona swoboda mórza i żegluga śródlądowej i wreszcie nad zabezpieczeniem pokoju winna czuwać Organizacja Narodów Zjednoczonych, wyposażona w odpowiednią egzekutywę.

Należy tu podkreślić, że 12 punktów Trumana stanowią wyraźny nawrót do zasad Karty Atlantyckiej.

Wygłoszone bezpośrednio potem przemówienia brytyjskich mężów stanu świadczą, że W. Brytania w pełni

przyłącza się do programu proponowanego przez Trumana i na tych samych zasadach pragnie ułożyć współpracę międzynarodową.

ZSRR przez długi czas nie odpowiadał na to zaproszenie, jedynie akcentował konieczność ujawnienia mu tajemnicy bomby atomowej. Stany Zjednoczone, W. Brytania i Kanada, po rozmowach przeprowadzonych przez premiera Attlee w Waszyngtonie, ogłosiły wspólną deklarację stwierdzającą, że skłonne są podzielić się tajemnicą wyzwolenia energii atomowej z innymi narodami, ale pod zrozumiałym warunkiem wzajemności w wymianie wynalazków i po zapewnieniu kontroli, by energia atomowa była wykorzystywana jedynie dla celów pokojowych. Mocarstwa zachowują na razie tajemnicę samej bomby, aż do chwili, gdy będzie stworzony taki ustrój międzynarodowy, który wykluczy możliwość wojny.

Bezpośrednio po tej deklaracji amerykańscy a zwłaszcza brytyjscy mężowie stanu ogłosili szereg przemówień, z których wynika, że oba mocarstwa zachodnie uzgodniły swe poglądy i będą dążyć wspólnie do stworzenia takiego systemu międzynarodowego, w którym zapewniona byłaby wolność jednostki i narodów. Minister spraw zagranicznych W. Brytanii Bevin poszedł nawet tak daleko, że wyraził wiarę w niedługie powstanie Stanów Zjednoczonych Świata.

Drogą prowadzącą do tych celów ma być stałe zbliżanie się narodów w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zarówno premier Attlee, jak i min. Bevin wielokrotnie podkreślali, że harmonijne współzycie narodów nie jest bynajmniej utopią, czego dowodzi doskonale współzycie różnych narodów w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Chodzi tylko o to, by atmosfera wzajemnego zaufania objęła cały świat.

Na wszystkie te deklaracje i propozycje Moskwa odpowiadała głuchym milczeniem. Z pewnych wydarzeń na świecie, jak np. w Mandżurii lub w Persji, należałoby sądzić, że postanowiła ona dalej kroczyć po swej dotychczasowej drodze.

Dużą więc niespodzianką stał się fakt zwołania do Moskwy konferencji Byrnes-Bevin-Mołotow. Jest to niewątpliwie jeszcze jedna próba znalezienia wspólnego języka. Czy ma ona jakieś szanse powodzenia, jeśli mocarstwa zachodnie są naprawdę zdecydowane realizować swoje założenia programowe? Przyszłość nam odpowie na to pytanie.

Wierzymy szczerze w dobrą wolę USA i W. Brytanii oraz w ich chęć prawdziwej współpracy z ZSRR. My Polacy też takiej współpracy pragniemy, ale chcemy, aby odbywała się ona na zasadzie pełnej równości i wolności, przy wzajemnym poszanowaniu zobowiązań. Dlatego życzymy naszym wielkim sojusznikom powodzenia w urzeczywistnieniu ich pięknych programów, życzymy im wytrwałości w dążeniu do celu mimo przeszkód i wbrew przeszkodom i wyrażamy nadzieję, że rok 1946 nie będzie dla nas jeszcze jednym „rokiem nie spełnionych nadziei”.

Kaz. Junosza

P A S T E R K A

*Ptaki, niby dzwoneczki, cieszą się kołędą —
Chrystus się nam narodził i nowe dni będą.*

*Do stajenki betlejemskiej aż od brzegu Wisły
Za ptakami smukłe sarny dziwować się przyszły.*

*Wiewiórka zęby szczerzy i w niebo się patrzy,
Jak dwa gołębie płyną na błękitnej tarczy.*

*I kwiaty, choć to zima, czas mroźny i cichy,
Niosą myrrę, kadzidło i złote kielichy.*

*! pawie przyfrunęły z krajów cudzoziemskich,
By swe pióra przyrównać do skrzydeł anielskich.*

*A mały Chrystus, smutny, w drzwi patrzy i czeka,
By pośród witających zobaczyć człowieka...*

Jerzy Liebert

SABOTAŻOWE JASEŁKA

Poczawszy od Maceraty w górę Włoch na każdej nieomal placówce P.S.K. czy P.C.K. przygodni świadkowie mogli w miesiącach letnich obserwować wzruszającą zaiste scenę: oto w pewnej chwili dwie „pestki”, ujrzawszy się z daleka, wydawały niesamowity pisk, pochylały się do przodu, rozstawiały szeroko ramiona, potem długo kiwały się w uściskach, jak para mocujących się niedźwiadków.

Pogubiwszy się w zamięcie dogorywającej wojny — jeszcze w pasiastych sukienkach „lagrowych” z naszymi numerami — spotykałyśmy się żywe, zdrowe, w mundurach z polskimi orzełkami. Więc czy można się dziwić, że radość za każdym razem była jednaka, a pożegnanie niesyte gadania? Jakże w parę minut opowiedzieć sobie perypetie wędrówek po zawalonych wojским drogach Sudetów, noclegi pod gołym niebem, etapy przejściowych obozów?

Świat, oglądany tak długo spoza drutów, każdej z nas wydał się inny. Stała więc umowa: zjeżdżamy się na święta Bożego Narodzenia. Żeby się nareszcie nagaść.

Już za oddalającym się łażkiem biegły ostatnie serdeczności i napomnienia:

— Dorywezy, nie zapomnij przysłać szopki! — Dorywezy to niby ja.

Szopkę „odstawiliśmy” rok temu w obozie. Powtórzymy ją teraz, by się stało zadość rodzinnym tradycjom. Ale w jakże innych warunkach!

Odjeżdżając, burczałam trochę pod nosem. Oczywiście znowu Dorywezy. Nikt, tylko ja. Jak wówczas.

Rok temu... Paniętam ową grudniową niedzielę, gdy glina na ulicach między barakami rozmiękła w żółte, grząskie błoto i ze świątecznych przyjemności odpadła nawet możliwość spaceru wzdłuż rozpiętych drutów. Siedziałyśmy nastroszoną z zimna gromadką, przy „naszym” stole. Mięśnie, utrudzone całotygodniową,

pracą, rozluźniały się przyjemnie. Spoza zapoconych szyb dalekie szczyty gór białały świeżym śniegiem. Rozmowa kuląła jakoś w chłodzie, który wciskał się szczecinami baraku. Przy sąsiednim stole wrzała kłótnia o „dolewkę”. Ktoś wziął dwa razy, komuś innemu zabrakło. Piskliwe, histeryczne głosy napełniały salę denerwującym zgiełkiem.

— W górach już śnieg — stwierdziła jedna z siedzących, jakby chciała odgradzić nasz stół od dokuczliwości tych codziennych sporów.

— No tak, niedługo święta...

Milczenie. Dla większości z nas piąte to już Boże Narodzenie w więziennej karierze.

I teraz, jak zwykle, uratował sytuację Kajtek. Bouczyniło się już nazbyt markotno.

— Wiecie co? Urządźmy jasełka! — powiedziała takim głosem, jakby to było sprawą najłatwiejszą w świecie. Kajtek była najmniejsza z nas wszystkich — bledziutkie, chude stworzonko, które uginało się pod stosami kapsli w fabryce. Oczy miała zawsze czerwone. Podobno od pyłu. Parę tygodni temu dostała wiadomość o śmierci rodziców. Zginęli w Powstaniu. Nikogo więcej nie miała na świecie. Nigdy nie pozwoliła, by cień jej żałoby padał na nas. A była ośrodkiem naszej obozowej rodziny.

Ożywiły się zmęczone, nijakie twarze. Jasełka — ile to znaczy... Dawne szczęśliwe lata dziecięcych emocji, przeżywanych przy herodowej śmierci. Może by jednak spróbować...

Skoro Kajtek powiedział „zrobimy jasełka” — sprawa nie podlegała już właściwie dyskusji.

— Dorywcy — napisz tekst!

Wiedziałam, że tak będzie. Zawsze ja... Pełny mój tytuł brzmiał, nie wiadomo czemu, „Dorywcy przy pogrzebach”, i byłam używana do różnych zadań specjalnych. Bez większych protestów wdrapałam się więc ra mój trzeciak, by pisać.

Musiałam sobie przypomnieć rzeczy odległe o wieki. Znikł blok, zatłoczony, rozkrzyuczany — znikły wszystkie lata niewoli. Nawet smakowity zapach obiadowej brukwi nie wywabił mnie z legowiska. Rodzina przyniosła mi czerwoną, dymiącą michę (z dolewką), zaglądając przy tym ciekawie do nagryzmoonych karteluszków.

Kiedy po paru godzinach wróciłam do dziewcząt — role były już rozdane. Więc Herod — gruba nasza Maria, zwana Rodziną, oparłszy kawałek sztuczzonego lusterek na stole, robiła miny jak najbardziej królewskie. Więc Usia — diabeł z demonicznym chichotem, biegała po sali, już teraz szukając potrzebnych do kostiumu czarnych pantalonów. Więc anioły — nasze patentowane dwie blond piękności, klóciły się, jakie właściwie anioły mają skrzydła. Czy takie „do góry”, czy też jaskółcze, z końcami ku dołowi.

Po raz pierwszy jak obóz obozem zapadła cisza, chociaż nie wszedł żaden komendant i nikt nie krzyknął „achtung” od progu. Pastuszki zanuciły kolędę... Dawno nie słyszany motyw opadł nagle ciszą w mroczniejące wnętrza bloku tak właśnie, jak śnieg na góry. Gdzieś z kąta wyrwał się gruby, ordynarny śmiech. To Maryśka, zwana „Ryżą”, objawiała swą pogardę dla tego rodzaju wzruszeń. I potem, przez cały czas prób, prowokacyjnie wydierała się po swojemu: „Bałucki apasz i jego kochanka”.

Gdy sobie teraz uświadomię, z jakim beztróskim poświęceniem ściągaliśmy do bloku różne potrzebne nam a zakazane rzeczy — nie mogę wyjść z podziwu. Jasełka były szczytem „sabotażu”. Mimo codziennych kontroli przносиłyśmy setki arkuszy papieru, który był w owym czasie tak drogocenny, że kawałek wystarczyłby na gruby meldunek i bunkier. Owijałyśmy się kilometrami kabli, które po rozcięciu dostarczały nam cudnych miedzianych drucików, potrzebnych do anielskiej glorii. To już kosztowałyby chyba życie.

Cały blok brał udział w przygotowaniach. Na dalszy plan zeszedł kwestie dolewek i kradzieży.

Pewnego ranka Maryśka podeszła do Kajtka z miną nieco mniej zaczepną.

— Pani Kajtek — zaczęła, jękając się trochę — ja względem tych jasełków. Bo ja znam takie fajne, żydowskie przyśpiewki...

Okazało się, że Maryśka dawno bardzo brała udział w szkolnych jasełkach jako żydek. Niespodzianie, pod dotykem nuconej ko'edy, poruszyły się w niej dalekie wspomnienia.

Kajtek patrzy na swoje palce. Są obrzmiałe i sine. Wczoraj przytłukła je Maryśka, rzucając z furją kapsle. I mówi:

— To świetnie, panno Marysiu, właśnie brakowało nam żyda. Tylko najpierw zaśpiewa nam pani na próbę... — zastrzega szybko w obawie o cenzuralność tych przyśpiewek.

Drżaliśmy na myśl o rewizji. Na strychu jaśniały korony królewskie, plecione z miedzianych blaszek i drucików. Berło herodowe, rzeźbione z brukwi, owinięte było błyszczącym szychem. Powścielane w łóżka skrzydła anielskie oklejone były jedwabną bibulką, nad którą trzęśli się wszyscy majstrowie i której już w całych Niemczech dostać nie było można. Mało tego — aniołowie poszyli sobie szaty z prześcieradeł SS-mańskich, „zorganizowanych” w pralni.

W wigilię pracowałyśmy tylko do południa. Wszystkim tego dnia się śpieszyło. I majstrom, których czekały w domach pstre „Christbaummy”, i dozorczyńniom, które od rana chodziły w papilotach pod czarnymi kapturami. Wieczorem miała być w kantynie SS-manów zabawa z powodu „Julfestu” — pogańskiego święta zimowego przesilenia. Miałyśmy więc zagwarantowany spokój,

Wieczera przeszła szybko. Ktoś zdobył skądś garstkę siana. Krążył kawałek opłatka, przysłany komuś z domu. Jadłyśmy wszystkie razem, zsunawszy stoły, — ten jeden raz w roku bez kwestii o dolewki i większe piętki chleba.

Świeżutki śnieg ubielił drzewa. I gwiazdka zabłysła tak samo, jak u nas. Za odsuniętymi od ściany szafami,

które stanowiły kulisy sceny, zakłębiły się wnet władze niebieskie i piekielne. Złotowłose anioły stały sztywno w kątach, broniąc całości skrzydeł. Dwa pastuszki „po krakowsku” sięgały prawie sufitu pawimi piórami.

— „Maryśka, skąd masz ten chałat? — pyta Herod żydka z rudymi pejsami.

— Z domu mi przysłali... — odpowiada, mrużąc porozumiewawczo oko.

Ale oto rozsuwa się kurtyna z koców. Śpią pastuszkowie przy płonącym ognisku. Kołęda...

Widzowie siedzą uroczyście w świątecznie odprasowanych pod siennikami pasiakach. I po prostu — płaczą.

A ze sceny rozlega się śpiew:

*Chrystus Cię rodzi,
Nas oswobodzi...*

Kiedy kurtyna zakryła żywy obraz, przedstawiający stajenkę betlejemską i sine z zimna Dzieciątko (bo zabrakło białej farby) — blok zatrzęsł się od entuzjazmu. Publiczność wtargnęła na scenę, chcąc obejrzeć wszystko z bliska. Dotykano anielskich skrzydeł, podziwiano łośbek, sprytnie rozpięty na dwu stołkach.

A Maryśka ni stąd ni zowąd rzuciła się Kajtkowi na szyję: — Pani Kajtek, już ja za panią zawsze kapsle poprzynoszę...

Zofia Górską

HUMOR ANGIELSKI

W CZASACH DEMOBILIZACJI

Kapral Jones wchodzi do kancelarii kompanii i melduje się:

— Kapral Jones do pana porucznika.

— Słucham.

— Za pozwoleniem pana porucznika proszę o rozmowę.

— O co wam chodzi?

— Sir — mówi kapral, stając regulaminowo na baczność — mam być właśnie zdemobilizowany. Obserwowałem pana porucznika przez cały

czas mej służby w plutonie i muszę powiedzieć, Sir, że sprawił pan na mnie jak najlepsze wrażenie.

Porucznik przybrał surowy wyraz twarzy.

— Jestem szefem firmy konstrukcyjnej i inżynierskiej na Zachodnim Wybrzeżu — kontynuował kapral. — Jeżeli pan porucznik chce również wrócić do życia cywilnego, przyjemnie by mi było zaofiarować panu posadę w mojej firmie.

(Reader's Digest)





TRZEJ KRÓLOWIE

Bonannus, r. 1

Fot. Lola

W NIDERLANDACH

Pan Zagłoba, zapytany gdzie był i co czynił zimą owego sławetnego roku 1944, przerwał wnet picie piwa, kufel odstawił, pianę z wąsów chustą otarł — i wodził chwilę wzrokiem dokoła jakby dla uczynienia większego wrażenia na zebranych.

— W Niderlandach-em był — rzekł w końcu dobitnie. Cicho się w sali uczyniło na moment, a potem szmer potężny po izbie się rozszedł; ... ten i ów przypominać począł historię przedziwną, jak to swego czasu pan Zagłoba Karolusowi Szwedzkemu niderlandzką ziemię odstąpić raczył — i już jedni za boki się brali, a drudzy twarze wykrzywiać w porykiwaniach głośnych jęli. Ci, którym natura bystrości myślenia udzielić poskapła, poskoczyli ku Zagłobie i, przepychając się ku niemu i za poły battle-dress'u i czarny naramiennik łapiąc, pytali czy zacnego przyjęcia od Karolusa w Niderlandach doznał...

— Nie masz Karolusa w Niderlandach, ani żadnego inszego heretyka. Wróg tam pobit! — zmył pan Onufry głupców. — Nie było go i owego decembra Roku Pańskiego 1944. Pułki usarskie nasze pod Maczkową komendą obok Kanadyjczyków szmat kraju krzepko trzymały i rej w nim wiodły.

— Nasi... przebóg gadaj waćpan, bo nie zdzierzymy — ozwały się wkoło liczne głosy.

— Ano było tak. Jeszcze miesiąca octobris usarze nasi z ziemi Flamandów nadciągnęli, granicę niderlandzką przekraczając. Wyznam, iżem w życiu — chociaż człowiek się tu i ówdzie przetaił i na niejednym froncie kasztany zbierał — takiej siły powozów pancernych, przeróżnych, czołgów, co je szermanami i krąwelami zowią, nie widział. Szło to wszystko gościńcami i polami z hukiem i trzaskiem, a Niemiec wciąż pole dawał. Trzymał się wprawdzie jakowyś czas na granicy, gdy nasi oddechu nabierali po pościgu długim, co aże od Normandzkich brzegów miał miejsce i blisko dwie pełnie księżyca

trwał. Panczerze wtedy łatali, na posiłki ze Szkocji czekając, bo we Francji pułki poszczerbiono w twardej zapasach (ale, ale, dla jegomości Ketlinga ze Szkocji jego rodzinnej, „suvenirów” huk-em przywiózł). Gdy się zebrali a ruszyli — october miał się ku końcowi — nie ostał się Niemiec i tydzień i szczupakiem do miasta Bredy umknął. Skoczyliśmy za nim jak w dym i miasto wzięli szturmem.

— A który tam się najlepiej spisał? — przepytawali obecni.

— Kamrat mój dobry, którego Pusiem ze Zdziechowa mianują, namiestnikiem regimentu piechoty wówczas będąc, okrutnie dokazywał. Wszedł w miasto nocą, cichcem patrole po rogach rozstawił i potem nagle ognia dawać kazał. Na to Niemcy, słysząc zagnęła strzelaninę w całym mieście tuż pod domami, nuże z fraucymerów,



gdzie przepieczętowania nocnego szukali, wyskakiwać i w koszulach, a często bez hajdawerów zdawać się na łaskę naszego Pusia. Ten czasu nie tracił i niejednej grzecznej niderlandzkiej białogłowie, której gach gołym zadkiem właśnie na ulicy świecił, całusa skradł. Abominacja potemu była wielka, gdy dziewczkom sąsiedzi za tych niemiec-kich gachów golili głowy. Takie to już zakłamanie cza-sy. — Tu pan Zagłoba zoczył na chwilę z tematu, krótką dyskursyjkę na temat nowoczesnej moralności wygłasza-jąc ku obopólnemu: słuchaczów i swojemu zadowoleniu.

— Dla wzięcia Bredy — mówił wracając do poprzed-niego tematu — jak widzicie nie mitrężono tym razem czasu, jak to było w r. 1625, gdy imć Ambrozio Spinola, z Hiszpanami miasta dobywając, przez jedenaście mie-sięcy tunele i podkopy rył, szanice sypał i mury fortecy kolubrynami kruszył. Gdyby młody nasz Władysław IV, który na swe wojskowe staże do Hiszpanów przyjechał raczył, był z nami w owej 44 roku potrzebie, nie nu-dziłby się tak potężnie jak wonczas.

— Byłoże wam krotochwilnie, powiadajcie wuju? — zapytał Roch Kowalski (nadmienić przyjdzie, iż ten tak-że w tej wojnie dokazywał znakomicie, świerka mając na ramieniu).

— Krotochwil nie zabrakło — sapał pan Onufry. — Chociaż prawdę wam powiem, iż po zajęciu Bredy oka-zało się, iż Niemiec biedę i ponurość w niej po sobie ostawił. Ale nam lekko było na duszy po wiktorii, wróg za rzeką Mozą siedział zrzadka o sobie znać dając, a my w to graj na zimowe leże zapadlim z ludnością bredziań-ską się bratać. Ażeby zaś ucziwych trunków i zapa-sów na zbliżające się święta przygotować, jeepami-śmy do Brukseli często podjeżdżali. Poniektórzy robili to awio-netkami, co w pośrodku Bredy, nad kanałem, na łące aerodrom swój miały. W parę niedziel później już i sli-pingi chodziły, ale kramażyły się bardzo, bo latające bomby, które Niemiec wtedy gęsto puszczał, „ślepo-gratami” przez naszych zwane, często tory niszczyły.

— A jakoże w onej Brukseli bywało? — dopytywali się słuchacze.

— Trzeba wam wiedzieć — zapalał się Zagłoba, bo jego ulubiony temat poruszono — iż już przed pięćsetleciem Burgundowie upodobali sobie postoje w Brukseli, której mieszkańcy uważali odtąd za punkt honoru godne podejmowanie gości. „Zmęczeni trudami łowów czy igraszkami wojny — nawoływał rycerzy kronikarz za czasów Filipa Dobrego — idźcie poszukać w mieście dystrakcji ku odpocznieniu i zyskowi ogólnemu... Czekają was przyjemności wszelakie, gładkość niewiast włączywszy... — pan Zagłoba cytował z pamięci starego kronikarza — ... jedźcie szlachetni panowie przez Brabant falisty, co już jest uciechą nielada, zważywszy że zwierza wszelakiego tam dużo... podążajcie do miasta, gdzie czekają na was otwarte podwoje zajazdów, gdzie ziemia nadana być może a i dukaty do trzosa... (za naszych czasów po prawdzie mówiono: „guziki” komentował kronikarza Zagłoba) (kasztany — przyp. red.) ... stoły uginają się tam pod mięsiami soczystymi, piwami o kolorze jantaru, winami, co o miłowaniu myśleć każą... Kobiety tam są jedrнопierśne i płodnობiodre, a kupcowie rozliczni dostarczyć mogą czego dusza zapagnie...” — Tak, tak — pokiwał głową Zagłoba. — Żal nam nieraz było od onych białogłów, jak sobie jeden z drugim w gospodzie Atlanta podochocił, do domu, do Bredy, wracać. A mówię wam, że w takiej Atlantcie, dokąd jeździło się luzować na 48 godzin poprzednią partię kuracjuszy po niewczasach wojennych, restauracja, bar, dancng i pokoje były na miejscu i człowiek przez dwie doby budynku mógł nie opuszczać. Sprytnie to Kanadyjczycy wykonywali. Ale cóż, do Bredy w końcu wracać było potrza, bo rozliczne obowiązki nas czekały, a to: opiekowanie się ludem uwolnionym, alimentowanie, panien bawienie. Święta dufaliśmy spędzić godnie, bowiem raz po raz kolaska pełna jadła i win z Brukseli wracała i te składaliśmy nie do żołądka, a do magazynu, co jak przyszłość okazała, było nie pożyteczną i iście niegodną żołnierza czynnością.

— Co się stało wuju? — zawołał Roch, podejrzewając coś niedobrego.

— Ano po prostu na dwa dni przed Wilią larum zagrali i gotować się do wyjazdu ze wszystkim kazali. Ruch i zamęt wyniknęły w mieście nie opisane. Żegnane niepokieszone żony i narzeczone, pakowano bety, których raptem zrobiło się nad wyraz wszelki dużo, troczono je do czołgów i karierów, a motocykliści komunikiem jak oszaleli galopowali po całym mieście tam i na powrót... Jak to zwykle w podobnych okazjach w życiu wojskowym bywa. Wieść lotem rozniosła się po Bredzie i okolicy, że niemiecki hetman Rundstedt atak przypuścił, Amerykan bije na prawym naszym skrzydle, a przez to odcięciem grozi. Ruszyliśmy tedy nazajutrz po alarmie, by w lasy zapaść i przepraw w razie potrzeby bronić. Tameśmy, w owych hertogenboszowskich lasach spleźlili i Wilię.

— To cknno wam być musiało... — z wycuciem sytuacji ponuro rzekł Kowalski.

— I tam dystrakcji nie zbrakło — zaśmiał się Zagłoba, czasy owe z pamięci przywołując. — „ślepograty” dzień i noc nad nami latały, a nasi pykali se do nich jak do kaczek. Poniektóra, nie wiadomo tylko z własnej przyrodzonej ułomności, czyli defektu, czy też z powodu trafienia, rżnęła o las lubo ziemię, łomot straszliwy czyniąc. A na wilię regimentarz dywizjony na stanowiskach objeżdżał i z dowódcami łamał się opłatkami i pił zdrowie rycerstwa za pomyślność dalszych bojów. Działo się to w lesie zimowym, na śniegu trzaskającym pod nogami, pod niebem ugwieżdżonym i mroźnym, prawie jak w naszym kraju, wśród huku nieustannego, który wstrząsał lasem, bowiem armaty nasze wciąż ognia dawały, setki kul i kartuszków na linie wroga śląc. A słały je dobrze. Podjazd następnego dnia stwierdził, zasięgnawszy języka, iż szykowana przez Niemców wycieczka, właśnie w tym naszym ogniu załamać się miała. Taka to była Wilia na froncie Zachodnim roku Pańskiego 1944...

Kalena

1



2



3



5



7



8



W. Kowanko

DRZWI BEZ KLAMKI

Kiedy szerokim gościnnym ruchem, wraz ze zgrzytem potężnego klucza, ryży strażnik „wnurjennoj tiurmy NKWD” w Murmańsku zaprosił do wnętrza celi, otoczyły nas z miejsca kłęby machorkowego dymu, gwaru klótni i stłoczonych ciał. Istotnie cela wypełniona była wedlug planu z istic stachanowskim rozmachem i naczelnik więzienia Trepyszka czyli Trzepaczka, zwany tak dla zbytnej gadatliwości, mógł niewątpliwie ubiegać się o poczesne miejsce w wyścigu pracy, jakiej mu dostarczyły miejscowe władze NKWD. Próbując rozejrzeć się w tłoku, stwierdziliśmy ze smutkiem, że nie tylko najwygodniejsze kąty celi, nie wyłączając pękatej paraszy, są już zablokowane, ale nawet najskromniejsze miejsca na ścieżce wiodącej do tejże paraszy — są niedostępne.

I wypadłoby nam niewątpliwie sterczeć całą noc, na sztywno, przyciśniętym do muru, gdyby nie niezawodny w tym środowisku urok cudzoziemskiego, zachodnio-europejskiego pochodzenia.

Gdy po pierwszych słowach, jakie wymieniłem z moim towarzyszem doli, zorientowano się, że w przepisowych fufajkach i pod kłapouchymi łagiernymi czapkami kryją się rzeczywiście przedstawiciele „zgniłego zachodu” — chciwe ręce tłumu wyciągnęły się w naszą stronę. W jednej chwili znaleźliśmy się w środku celi, otoczeni kołem kosmatych, szczeciniastych twarzy, co nie tyle wynikało z ich zwierzęcego charakteru, jakby pomyślał delikatny Europejczyk, ile z powszechnego w więziennictwie sowieckim systemu golenia twarzy maszynką do włosów.

Zarzucono nas pytaniami wstępnymi i zasadniczymi. Jak przystało na przyzwyczajonych do burżuazyjnych wygód, wyciągnęliśmy najpierw nogi, rozparli się lokciami i dopiero wtedy podjęli rzucone nam problemy. Tematy obejmowały bardzo szeroką skalę zagadnień, bo i „Gitlera” i „Polszu”, w której podobno panowie orali chłopami, i sytuacji gospodarczej klasy przestępczej czy-

li tak zwanego „żulio” w krajach europejskich, a poważna też ilość głosów domagała się, ażeby im „raskazat pro paryskije bardaki”. Osobiście gotów byłem podjąć ten ostatni temat, jako najlepiej opracowany, gdyż uprzednio przez osiem miesięcy śledztwa w Nikołajewie mój śledowatiel zadawał mi to pytanie nicodmienne, kończąc szybko i nerwowo banalne przesłuchanie o „perechod granicy k’Sikorskamu”. W tych to czasach wyspecjalizowałem się w tych sprawach i myślę, że — gdyby wyobraźnia moja odpowiadała rzeczywistości — niezmierny byłby zakres ludzkiej potencji seksualnej. Mój przyjaciel jednak uważał za właściwe podjęcie najpierw zagadnień zasadniczych i rozpoczął z miejsca długi i uargumentowany wywód o wstrząsach i katastrofach jakie zagrażają światu w najbliższej przyszłości, zwłaszcza zaś sielskiemu, pogodnemu bytowi ZSRR. Te groźne perspektywy wywołały żywe zainteresowanie słuchaczy a u niektórych uderzającą sympatię. Szczególnie młody smagły chłopak Grisza raz po raz przerywał wywody mego przyjaciela wykrzyknikami entuzjazmu. Jak się okazało później, Grisza, reprezentant młodego pokolenia inteligenckiego ukończył już „dziesięciolatkę”, pomimo iż papasza jego należał do zasłużonych długoletnich członków partii, zajmował się w czasie ostatniej fińskiej kampanii brzydką zabawą przecinania drutów telefonicznych wojsk sowieckich. Za te młodzieńcze igraszki otrzymał dziesięć lat, aby w tej nowej „dziesięciolatkę” zdobyć prawdziwe głębokie podstawy sowieckiego wychowania. Teraz jednak Grisza nie myślał o tym, chciwie chwytając każdy argument mego współtowarzysza i odrzucając go w głąb stłoczonej celi.

Nie wszyscy jednak byli równie rozentuzjazzowani naszą elokwencją i młodzieńczym zapałem Griszy. Chudy, w okularach, o zmęczonej twarzy człowieczek pochylił się ku mnie i tajemniczo przestrzegał, żebyśmy byli ostrożniejsi, bo to bardzo niebezpiecznie tak dużo „bałtać jazykom”. Istotnie kilku z otaczających wpatrywało się w nas w milczeniu, a zwłaszcza ich niechętnie spojrze-

nia kierowały się przeciwko Grisy, który z coraz większą zapalczywością domagał się dokładnych danych o mających nastąpić w najbliższej przyszłości katastrofach. Wkońcu któryś z nich nie wytrzymał i mruknął głośno w jego stronę:

— Posiedzisz dłużej, przestaniesz tak wykrzykiwać...

Od chudego człowieczka w okularach, który okazał się nauczycielem literatury w gimnazjum sowieckim i pokutował teraz siedmioletnim wyrokiem za zbytne zainteresowania literackie — lekturę książek zachodnich pisarzy, dowiedziałem się, że w celi wszyscy są już po wyroku i jutro spodziewany jest transport do „łagru”. Ta wiadomość zgnębiła nas ogromnie. Wracając z okręgowego sądu w Murmańsku, gdzie z zachowaniem całego ceremoniału, czerwonego sukna na stole, asesorów, milicjantów i prokuratora zostaliśmy skazani za próbę ucieczki z „łagru” w Kandalakszy na sześć lat, mieliśmy nadzieję, że jeszcze z miesiąc zostaniemy w więzieniu i przynajmniej Boże Narodzenie, które wypadło za kilka dni, będziemy mogli spędzić w atmosferze spokojnej. Tymczasem czekała nas zapewne kilkutygodniowa podróż w zimnych, bydłowych wagonach, o zmarzniętej pajce chleba, wiaderku wody i śledziach, przez bezludne przestrzenie i zasypane śniegiem stacyjki. A potem — wizja zgubionego w tajdze „łagru”, ziemianek, drutów, „wachciorów” i — co najgorsze — porannego „podjomu” do roboty. Cała radość i odwaga jaką natchnęło nas świeże, ostre powietrze w czasie spaceru z sądu do więzienia, odpadły bez śladu. Zgnębieni, skuleni, próbowaliśmy zasnąć. Nie chciało mi się rozmawiać, choć wciśnięty obok mnie chudy człowieczek w okularach długo jeszcze w noc syczył mi w ucho jakieś żalonne skargi o swoim zmarnowanym życiu, o książkach, które przeczytał i za które teraz pokutować będzie siedem lat, a właściwie całe, calutkie życie. Zwolna cęła układała się do snu, tylko głuche chrapanie i postękiwanie przerywało od czasu do czasu sen ciężki i niespokojny.

(Dok. n.)

Jan Olechowski

HUMOR

WYCZERPUJĄCA ODPOWIEDZ

Dwaj panowie podróżni siedzą w przedziale. Jeden ponury, drugi usiłuje nawiązać rozmowę.

- Daleko pan jedzie?
- Do Poznania.
- A co pan tam będzie robił?
- Wsiadę.

PRZYJEMNA ROZMÓWKA

— Halo! Halo! Czy mówię z panią „Połysk”?

- Nie, to pomyłka.
- Jakto, więc nie pierzecie panowie bielizny?
- Ależ mówię, że nie.
- Cóż za brudasy!

MIĘDZY MAŁŻONKAMI

— Powiedz, jakie by było twoje życie bez mnie?

- Na pewno tańsze moja droga.
(La Settimana Enigmistica)

PLANOWANIE PRZYROSTU NATURALNEGO

Wzburzony rekrut prosi dowódcę kompanii o natychmiastowy urlop.

— Zona będzie miała dziecko — powiada.

Po załatwieniu wszystkich formalności, wypisaniu wszystkich papierów, gdy żołnierz miał już odjeżdżać, dowódca pyta:

— A kiedy ma nastąpić rozwiązanie?

— W jakieś dziewięć miesięcy od dnia mego przybycia do domu.

(Reader's Digest)



Mario: Julietta kończy cerować pończochy. Na razie przyszyła parasol.

(Wor.)



PO AUDYCJI RADIOWEJ

Ochotniczka Klotylda: — Czy jesteś pewna, że Prokopieni piosenkę „Kocham cię maleńka” spiewał tylko dla ciebie?

Ochotniczka Kordula: — Naturalnie! Nikogo przecież w tym czasie nie było w pokoju.
(T. M.)

SIŁY PISARSKIE 2. KORPUSU

Literatura polska w Kraju nie doczekała się dnia radośnego wyzwolenia. Okazało się, że nadzieje przywiązywane do wielkiej twórczości, ukrywanej w podziemi za okupacji niemieckiej, albo były płonne albo może twórcy doszli do przekonania, że jeszcze, nie czas swe dzieła ujawniać. Jarosław Iwaszkiewicz zapewnił jednak w prasie „lubelskiej”, że podziemny dorobek literacki był legendą. Dziś znalazła się literatura polska wraz z całym Krajem w niewoli sowieckiej. Twórczość stamtąd płynąca nacechowana jest stempekami pseudopaństwowej lojalności, usiłująca przez łzy śmiać się z radości „nowych czasów”, zakłamana, skrępowana, często boleśnie upodlona.

Swobodna polska twórczość rozwijać się może tylko — jak tyle razy w dziejach narodu — poza granicami Kraju. Więc też Polska oczekuje stąd wielkich dzieł, spotęgowanej twórczości. Wysoki to zaszczyt i głęboka odpowiedzialność dla twórców poza granicami ojczyzny.

Nie tylko Kraj, ale i cały świat polski oczekuje najwięcej od Drugiego Korpusu, w którym jakby ukryła się dusza wolnej Polski. Wielostronna twórczość społeczeństwa 2 Korpusu jest w chwili obecnej w pełni. Piśmiennictwo reprezentowane jest tu przez wszystkie swe rodzaje, najmocniej

oczywiście przez literaturę polityczną.

Twórczość literacka 2 Korpusu poczęła się na Środkowym Wschodzie, a rozwinęła się na ziemi włoskiej, pozostawiając na Wschodzie jak fala morską swą cząstkę w postaci pozostałych tam pisarzy. Ruch piśmienniczy w Korpusie jest niezwykle żywy, a dla jego charakterystyki wystarczy przytoczyć cyfry: na terenie Italii pojawiło się dotąd 51 pism periodycznych i 16 jednodniówek oraz ksiąg pamiątkowych. Biblioteka „Orla Białego” wydała 61 książek i broszur, Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu 43, Sekcja Wydawnicza ponad 40, Biuro Prasowe Biskupa Polowego 10, Polska YMCA przy 2 Korpusie 10 nie licząc wydawnictw oddziałowych. Jak w każdym nurcie wydawniczym, nie są to wszystko dzieła jednakiej wartości, są wszakże świadectwem i potrzeb kulturalnych żołnierzy i rozwijającej się twórczości. Obok nazwisk i wartości skryształizowanych dokonuje się w Korpusie proces rodzenia się, kształtowania i dojrzewania nowych talentów. Młodnik ten na wielką skalę ma poza granicami Polski chyba tylko właśnie 2 Korpus, a nie od samotnych gwiazd, lecz od mlecznych dróg zależy piękno nieboskłonu, Literatura, której brak młodych piór często niezręcznych, ale namiętnych, ambitnych i licznych, skazana

jest na obumarcie. W naszej strefie nie grozi to piśmienictwu, szczególnie w dziedzinie poezji.

W prozie najtrudniej obok wielkich nazwisk stawić dopiero rosnące. Proza współczesna jest wielką sztuką. Wymaga się od niej serdecznego związku z życiem, umiejętności dokumentaryzmu, nowości językowych. Najbardziej rasowym przedstawicielem prozy współczesnej jest w tym świetle Melchior Wańkowicz. Jego dzieła są utrwaleniem najmocniejszych dramatów narodu w latach wojny — Września w „Wrześniowym szlakiem”, męczeństwa polskiego w Rosji w „Dziejach rodziny Korzeniewskich”, bitwy o Monte Cassino w drukującej się olbrzymiej, trzytomowej książce, pierwszej w dziejach literatury literacko-dokumentarnej pracy o akcji wojennej. Mimo pewnych naiwności wojskowych, wynikających z patrzenia na zjawiska wojny okiem kadeta z Olandrów, są dzieła Wańkowicza owocem gigantycznej pracy i niepośpolicie oryginalnego języka.

Herminia Naglerowa jest pisarką o bardzo czującym sercu i wysokiej literackiej kulturze. „Ludzie sponiewierani”, opowiadania z Rosji, są zjawiskiem na miarę historyczno-literacką. Mniej powodzenia ma pisarka w dramacie, więcej w reportażu („Na perskim jarmarku”). „Wspomnienia starobielskie” Józefa Czapkiego pisanego są duszą auto-

ra. Pióro jego jest szczerze mówiąc dość wątle, ale książeczka pisana wielką, głęboką, artystyczną duszą. Przyniosło to czarujące zjawisko literackie. Z prozaików dawnej daty w orbicie 2 Korpusu znalazł się Michał Pawlikowski, powtarzając swe gawędy p. t. „Biją w tarabany”, wcale ciekawe, ale pisane chyba dla szkół szlacheckich.

Osobną grupę prozaików tworzą reportażyści. Wnieśli oni do literatury polskiej nie tylko świat pojęć nowoczesnej wojny i jej bogaty język, ale też żołnierski światopogląd. Ścisłe biorąc usiłowali sprostać tym zadaniom. Jest bowiem tych reportażyстів gromadka liczna, jednak twórczość ich niezbyt wielkim promieniuje wdziękiem. Gawędziarski styl, rzetelność sprawozdawcza i świeża spostrzegawczość wysuwają na czoło tej grupy Tadeusza Zajączkowskiego z jego zbiorem „Od Ostrej Bramy do Osmej Armii”. Bardzo przeciętne są okie broszury Marka Święcickiego „Czerwone diabły pod Arnhem” i „Za siedmioma rzekami była Bolonia” — przez swój pospolity język, słabą znajomość spraw wojskowych i przesadnie osobistą manierę reportażu. Z czasów walk Brygady Karpackiej pochodzi pamiętnik Wł. Chomy „Tobruk-Gazala”, przyjemny w czytaniu z powodu swojej bezpretensjonalności, lecz pozbawiony głębszych literackich walorów. Ostatnio pojawił się przedruk warto-

ciowych wspomnień z kampanii wrześniowej Z. Bohusza-Szyszko.

Spśród reportaży z Kraju — poza wspaniałą książką S. T. Norwida p. t. „Kraj bez Quislinga”, pochodzącą jednak spod pióra autora z Korpusu — na czoło wybijają się utwory Barbary Toporskiej i J. M. Zofia Górską pisze doskonałe opowiadania z więzień i obozów niemieckich.

Poezja 2 Korpusu ukształtowała się jako zwarty prąd literacki. Można by ją nawet określić tradycyjnym mianem „szkoły poetyckiej”. Jan Lechoń nazwał poetów Korpusu „grupą Monte Cassino”. Jest w ich twórczości istotnie jakby tajemne porozumienie. Poeci-żołnierze razem wzięci stanowią jakby jakiś bojowy pluton na pozycjach kultury. Najbardziej piękną cechą ich pisarstwa jest odpowiedzialność, służebność wobec najważniejszej sprawy narodu — walki o wolność. Nie ma to jednak nic wspólnego z poezją użytkową jest tylko wiernym wyrazem duchowej postawy środowiska. Wojna ukształtowała te talenty w sposób artystyczny. Są to też żołnierze nie tylko „sprawy”, ale zwyciężajnych bitew. Bogatą skalę ich twórczości ukazują trzy antologie poezji: „Poezja karpacka”, „Azja i Afryka” oraz „Nasze granice w Monte Cassino”. Wydana przez „Bibliotekę Polską” w Paryżu w opracowaniu St. Lama antologia polskiej poezji wojennej wykazuje, że poezja 2 Korpu-

su nawet w światowym zasięgu naszej poezji tej wojny zajmuje poczesną pozycję.

Jest przeznaczeniem poetów Armii Polskiej na Wschodzie ich odpiływ na Zachód. W ciągu ostatniego roku ubyło tam dalszych dwóch poetów: Tadeusz Sowiński i Henryk Mirzwiński. Na szczęście przybyli nowi z niewoli i obozów. Ostatecznie konstelacja poetycka gwiazd pierwszej wielkości 2 Korpusu składa się z następujących jednostek: Józef Bujnowski, Bolesław Kobrzyński, Artur Międzyrzecki, Beata Obertyńska, Jan Olechowski, Witold Szyfer, Janusz Wedow, Józef Żywina i z nowoprzybyłych: Kazimierza Sowińskiego i Tadeusza Sułkowskiego. Dwaj ostatni przynieśli ze sobą zdobycze najnowocześniejszej poetyki i znaną artystyczną przeszłość. Przybył także poeta Polski Podziemnej Wiktor Trościanko.

Beata Obertyńska w twórczości wojennej czuje się słabiej, niż w swych ślicznych obrazkach z życia przyrody polskiej. Praca Bolesława Kobrzyńskiego podobna jest do upartego wysiłku górnika, mocującego się ze skałą mowy. Uważa on, że ułamki z tej pracy pochodzące nie są jeszcze skarbem, ku któremu poeta zmierza. Olechowski pod powierzchownością cygańską ukrywa mocny nurt myśli o życiu. Pogłębił się on tematycznie i formalnie bardzo znacznie. Ściszyli swe lutnie niestety Janusz Wedow i Józef Żywina. Międzyrzecki

wszedł na dobrze błą talon-tem drogę refleksji historycznych. Bujnowski i Szyler, poeci manifestów, najlepiej czuli się w poezji wojennej.

Dramat wydawniczo reprezentowany jest na terenie 2 Korpusu bardzo słabiutką kreacją Stefani Zahorskiej „Smocza 13” i pięknie pisanym, acz dramatycznie niedoskonałym „Garden party” St. Pleszczyńskiego i T. Słowickiego. „Sprawa nr. 113” Jerzego Laskowskiego zasługuje na wydanie.

Krytykę literacką świetnie reprezentuje oryginalnością myśli Gustaw Herling-Grudziński w zbiorze „Żywi i umarli”.

Publicystyka, oprócz nieodżałowanej pamięci Adolfa Bocheńskiego, ma w Korpusie doskonałe pióra, ukrywające

się w większości pod pseudonimami, na czele z Arpem, i Rusiłą. Oceny ich dokonać można oczywiście miarą polityczną.

Wreszcie wypadają zanotować zjawiska takie, jak znakomicie konstruowaną publicystykę religijną O. Innocentego Bocheńskiego, szkice filozoficzne Fr. Drownowskiego, essaye z zakresu zagadnień kulturalnych Waleriana Charkiewicza, Pawła de Laval i J. Ostrowskiego, z zakresu muzyki Wiarostawa Sandelewskiego, w gwarze warszawskiej pisane felietony humorystyczne W. Leskiego (zbiory „Felus Golonka” i „Jak pragnę Natji”) i rzadko ogłaszane felietony N. Sądka.

Z takimi mniej więcej siłami wchodzi Drugi Korpus w nowy okres nie ustającej walki o polską kulturę.

Jan Bielatowicz

KRONIKA KULTURALNA

NAGRODA NOBLA

Nagrodę Nobla w r. 1945 otrzymała w dziale literatury poetka chilijska Gabriela Mistral. Jest ona córką poety Federico Alcayaga, który pisał pod pseudonimem Mistral. Wraza z talentem poetyckim odziedziczyła więc po ojcu i jego pseudonim literacki. Najlepszą jej książką jest tom wierszy pt. „Desolacion”, wydany w r. 1921 w Meksyku. Stawa swą, zawdzięcza Gabriela Mistral, zwana Selmą Lagerlof Ameryki, nie tylko swej pracy na polu literatury, ale także bogatej działalności społecznej. Była jedną z najczynniejszych działaczek ruchu emancypa-

cyjnego kobiet w Ameryce Południowej, położyła także wielkie zasługi dla rozwoju szkolnictwa, nieustannie walcząc z analfabetyzmem.

Nagroda Nobla jest najwyższym odznaczeniem w skali światowej za pracę pisarską, naukową, a także za działalność pokojową. Powstała z fundacji znanego uczonego i prsemystowca Alfreda Nobla, oparta jest na odsetkach z dochodu z pozostałych po nim przedsięwzięciach. Jest przyznawana w końcu każdego roku przez specjalne kolegium sędziowskie, wyłonione spośród profesorów uniwersytetu sztokholmskiego. Spośród pisarzy polskich nagrodę Nobla otrzy-

mali: Henryk Sienkiewicz za powieść „Quo Vadis” oraz Władysław Reymont za powieść „Chłopi”. W dziale nauki — Maria Curie-Skłodowska dwukrotnie za odkrycie radu.

W dziale nauki nagrodę Nobla w r. 1945 otrzymał Flemming za wynalezienie penicyliny.

POLONICA

Wysłannik wielkiego tygodnika rzymskiego „Domenica” przeprowadził wywiady z czterema najwybitniejszymi wydawcami włoskimi. Na podstawie jego relacji pismo ogłasza listę najpoczytniejszych książek w mies. grudniu ub. roku. Na 11-tym miejscu tej listy znajduje się „Giustizia Sovietica” (Sprawiedliwość Sowiecka) Zwierniaka i Mora, na czele — oczywiście — publikacje autorów włoskich. Pisarze obcy tej miary co Zweig, Szołochow, Lawrence, Wilde zajęli miejsca znacznie dalsze.

Nakładem jednego z najpoważniejszych wydawnictw włoskich ukazała się książka J. Kryckiego pt. „Armata Silenziosa” (Armia przemilczana). W szeregu reportaży opowiada autor o bojach 2. Korpusu. Książka jest poprzedzona przedmową pióra Corrado Alvaro, laureata nagrody włoskiej akademii literatury.

W ostatnim numerze tygodnika „La nuova Europa” zamieszczony został artykuł poświęcony literaturze polskiej, pióra W. Giusti.

Tygodnik „Filles de France” drukuje w odcinku biografię Marii Curie-Skłodowskiej, pióra jej córki Ewy Curie. Ta pięknie napisana biografia wyszła przed kilku laty w przekładzie polskim. Obecny jej przedruk świadczy o nie słabnącym zaintere-

sowaniu dla dzieła i życia wielkiej uczonej.

Najpoważniejszy tygodnik francuski „Carrefour” zamieścił wielki reportaż specjalnego wysłannika piśma pt. „Polski Chaos”. Zapowiedana częścią drugą reportażu nosi charakterystyczny tytuł: „Polska 17-tą Republiką Sowiecką?”. Autor w sposób zdecydowany podkreśla, że Polska znajduje się pod nową okupacją. Reportaż ten przedrukowuje w odcinkach wychodzący na terenie Włoch tygodnik francuski „Présence”. Ma to swoją wymowę, gdyż pismo było dotychczas nastawione raczej prosowiecko.

SZTUKA

W Rzymie otwarta została 5-ta z kolei wystawa członków międzynarodowego Art-Clubu. W wystawie biorą udział następujący artyści polscy: Bohusz Szyszko, Domańska, Glett, Haar L., Jarema, Kościakowski i Westwalewicz.

LITERATURA

Tygodnik paryski „Les Lettres Francaises” z okazji 15-lecia pisma sowieckiego wydawanego w języku francuskim pt. „La Litterature internationale” podaje, że w latach ostatnich zamieszczali w tym piśmie swe prace m. in. następujący pisarze sowieccy: Leonow, Sobolew i... Wanda Wasilewska. Widać ta „polska” piśmarka musi być mocno zastrzeżona dla budowy „nowego ładu”, skoro w r. 1942 otrzymała nagrodę literacką Stalina.

Francuską Nagrodę Krytyków otrzymał Romain Gary za powieść pt. „Education Europeenne”. Choć autor

przez wiele lat przebywał w Polsce, to jednak opisy jego nie świadczą dobrze ani o znajomości naszego kraju, ani o zmyśle obserwacyjnym autora. Nagroda ta świadczy, że zainteresowanie sprawą polską w świecie bynajmniej nie przygasa.

F I L M

Włoska wytwórnia „Lux” przystępuje do pracy nad filmem, którego bohaterką jest Polka Maria Tarnowska. W roli głównej wystąpi Isa Miranda.

George Zukor po ukończeniu filmu „Holiday” (Święto) przystąpił do

realizacji wielkiego filmu pt. „Women” (Kobiety). Obsadę filmu stanowią: Norma Shearer, Joan Crawford, Paulette Goddard, Rosalind Russell, Joan Fontaine i następczyni uroczej Shirleiki, dziesięcioletnia Virginia Weidler.

Michele Morgan po kilku latach nieobecności we Francji powróciła obecnie do kraju, gdzie niebawem przystąpi do pracy nad filmem w/g „Symfonii” znanego pisarza André Gide’a. Film reżyseruje Jean Delannoy, twórca „Nieśmiertelnej legendy”. Partnerem Michele Morgan będzie Pierre Blanchard.

ODRZWI KATEDRY PIZAŃSKIEJ

Uważne obejrzenie reprodukcji dwu płaskorzeźb z odrzwi katedry pizańskiej, zamieszczonych na str. 18 i 19 naszego numeru, może stanowić pobudkę do głębszego wniknięcia w istotę formy artystycznej. Człowiekowi, nie obeznanemu z dziejami sztuki plastycznej, formy stworzone przez rzeźbiarza z końca XII. wieku wydać się mogą prymitywne, a może nawet niedołążne. Były to osąd całkowicie mylny. Zapewne, gdyby probierzem wartości dzieła sztuki była dokładność w kopiowaniu natury — postacie w reprodukowanych płaskorzeźbach, zarówno z „Narodzenia” jak i „Pochodu Trzech Króli”, — uznać by należało za twór artystyczny niedojrzały, bo nie dociągnięty do wzoru. Ale wielka sztuka wszystkich czasów, świadomie lub nieświadomie, nie kopiuje niewolniczo form natury, lecz *porządkuje, upraszcza i przekształca* — zgodnie z pewnym wyobrażeniem o naturze oraz potrzebą duchową twórcy, a także zgodnie z wymogami materiału, w którym dzieło zostało wykonane. Tak na przykład inaczej musi rzeźbiarz modelować bryłę gdy materiałem jest drzewo, a inaczej gdy metal.

W reprodukowanych płaskorzeźbach Bonannusa z Pizy podziwiać możemy wspaniałą, pełną prostoty i świeżości kompozycję, to znaczy rozplanowanie postaci oraz wypełnienie całego pola, w które obie sceny zostały włożone, a także doskonale dostosowanie wszystkich elementów składowych całości właśnie do charakteru materiału — brązu, w którym płaskorzeźby zostały odlane. Oryginalność w artystycznym potraktowaniu każdego kształtu oraz wzruszająca szczerłość, przenikająca obie płaskorzeźby — wznosi je na poziom prawdziwej, twórczej sztuki.



„VICTORY“ ZAGROŻONA . . .

<http://rcin.org.pl>



Pan Antos: — Nie waż się protestować, bo cię zamkną za działalność antypolską. (Wer.)

W SZKOCJI TAKŻE...

Urywek z przemówienia jednego z oficerów, w czasie pożegnania dowódcy:

— *Panie majorze!* Niech mi będzie welno, *panie majorze*, pożegnać *pana majora* w imieniu obecnych podkomendnych *pana majora*. *Panie majorze!* *Pan major* odchodzi, *pan major*, *panie majorze*, który wykazał tyle pracy — *panie majorze*, bo *pan major* był dla nas prawdziwym *panem majorem* i t. d. i t. d.

(„Polska Walcząca”)

NARESZCIE!

Starszy pan przerzuca gazetę: „Sraszliwy mord na ulicy” — „Sensacyjna kradzież brylantów” — „Awantura w Parlamencie” — „Poślowie pobili się laskami” — „Trup w Kanale”.

Zona (która poprzez ramię starszego pana patrzy na płachtę dziennika): — No, nareszcie wracają dawne dobre czasy.

ROZMOWA.

Członek P.P.R.: — Komunizm to ruch postępowy.

Pan Antos: — Tak. Podobnie jak paraliz.



Rozumiemy teraz, dlaczego komuniści: włosey zdobyli sobie taką popularność! (P. K.)

18 KM. DO SZCZĘŚCIA

Ta historia nie zakończy się pocałunkiem, który by przypieczętował początek nowej drogi życia — wspólnej odtąd, szczęścia nie zamąconego aż do grobowej deski. Na nieszczęście Romana (czy także na nieszczęście panny Zosi — o tym historia na razie milczy) od pocałunku właśnie się zaczęło. Ścisłej: zaczęło się na dobre — jeśli godzi się użyć podobnego określenia na to, co sam Roman nazwałby raczej najgorszym co go w życiu spotkało. Znali się, oczywiście, dość długo: rzecz działa się w kraju, gdzie „śmiałość” musi być poprzedzona przynajmniej przez dwa miesiące „znajomości”.

Poznali się dużo dawniej niż przed dwoma miesiącami, czas więc na ów pocałunek był dobrany „w sam raz akurat”. I okres dostateczny na to, żeby przystojny młodzieniec mógł zacząć nazywać swą wybraną narzeczoną. Wina to już samego Romana, że się za długo namyślał i morał z tej historii wypływa: nie czekaj zimy, chłopcze, bo będzie nietopsze (jak to mają zwyczaj mówić signoriny).

Zaczął się pod najgorszą gwiazdą. Bo żeby do tego stopnia od pierwszego razu nie zwrócić na piękną kobietę uwagi — tego by panna Zosia (gdyby, broń Boże, dowiedziała się o tym!) nie zapomniała Romanowi do końca życia. Na szczęście udało mu się jakoś dyplomatycznie przemilczeć to i panna Zosia nie dowiedziała się nigdy o swej pierwszej porażce w roli zwracającej powszechną uwagę piękności.

Zawarcie znajomości odbyło się w sposób jak najbardziej stereotypowy. Wszystkiemu była winna Natałka, znajoma Romana od takiego o! (co należy, w razie publicznego odczytywania tej epopei obustronnie zawiedzionej miłości — poprzez, odpowiednim gestem). Otóż Natałka uparła się — ledwie

Roman zdążył wrócić w domowe zacisze po ukończeniu edukacji — że musi go zapoznać z jedną z kompletu swych pięćdziesięciu koleżanek.

— Zobaczysz — mówiła — że będzie z was para wprost idealna.

Gdyby Roman przewidywał przyszłą katastrofę — owej obustronnie zawiedzionej miłości — na pewno by nie posłuchał wówczas jej podszeptu. Ale czyż, zważywszy jego wiek, można się dziwić, że nie musiała nawet specjalnie długo na niego nalegać? Ucieszył się na zawarcie tak obiecującej znajomości, ale, oczywiście, jak na ceniącego się młodzieńca przystało, nie dał tego bynajmniej po sobie poznać. Toteż stwierdził dość obojętnym tonem:

— Co ty się na tym znasz. Gdybyś miała choć trochę pojęcia o tym, jakie kobiety mi się podobają, nie grałabyś mi na nerwach tymi swoimi cygańskimi oczami.

Przyjaciele, wiadomo, na wiele mogą sobie pozwolić.

— Dziękuję ci za uprzejmość — odpowiedziała Natałka. — Jestem zupełnie o twoje nerwy spokojna; zbyt dobrze mnie pamiętasz, jak chodziłam jeszcze z warkoczykami sztywnymi jak dwa druty... Natomiast ja, gdybym cię spotkała na swej drodze dziś, musiałabym zapalać miłością od pierwszego wejścia. Ale bądź spokojny; zbyt dobrze cię pamiętam, jak przegrywałeś w klipę — w czasach gdyś zaczął stawiać pierwsze kroki na polu sportowym.

Stało na tym, że Natałka urządzi herbatkę, na którą zaprosi kilka koleżanek i kolegów. I że na tej herbatce nastąpi historyczne spotkanie obojga wybranych, w co nikt z reszty towarzystwa nie zostanie wtajemniczony.

Herbatka odbyła się w przepisowym terminie, z przepisową porcją muzyki z płyt, tańca, tudzież inteligentnej rozmowy. Roman był zadowolony, do panny rzeczywiście zapalał od pierwszej chwili

czymś w rodzaju głębszego uczucia — i wszystko zdawało się zapowiadać jak najlepiej.

Jakież jednak było jego zdumienie, gdy następnego dnia z ust Natalki dowiedział się, że chodziło o inną, zupełnie pannę. O tę mianowicie blondynkę o gładko zaczesanych włosach i dosyć wąskich ustach, zdradzających silny charakter, która niewiele się odzywała w ciągu całego wieczora.

Gdy Roman przyszedł wczoraj na ową herbatkę, zastał już całe grono w komplecie — jako szanujący się młodzieniec nie mógł przecież dopuścić do tego, aby wyczekiwać aż owa wybranka raczy się wreszcie zjawić. To wypróbowana metoda wszystkich wielkich ludzi, którzy czymkolwiek zaznaczyli się w dziejach. Gdy witał się ze wszystkimi, bakał pod nosem swoje piękne nazwisko, otrzymując w odpowiedzi podobne mruknięcia, z których dowiedział się, że brunetka z brzegu nazywa się ...ówna, druga jakoś podobnie, trzecia dla odmiany ...ska, potem nastąpiło kilka jeszcze mniej zrozumiałych dźwięków, a jeszcze potem to już w ogóle nie wiadomo co. Jeden tylko młodzieniec prawdziwie po bohatersku wypowiedział swe nazwisko: Kupść, tudzież aż trzy imiona Kleofas Roch Eugeniusz, ale za to zamilkł potem na cały wieczór. W rozgardiaszu, spowodowanym ciasnotą, pokoju oraz gospodarskimi zabiegami Natalki, nie miał nawet okazji zapytać jej, czy panna Zosia to rzeczywiście ta brunetka o czarnych, ognistych oczach, której starał się głównie dotrzymać towarzystwa. To rozumiało się samo przez się: przecież upatrzona na jego wybrankę musi być najładniejsza ze wszystkich.

Gdy następnego dnia w rozmowie z Natalką zorientował się, że przeznaczona dla niego panna Zosia nie ma ani ognistych oczu, ani łabędziej szyi, że jest osoba skromniej zgoła prezencji, za to wiel-

kich zalet umysłu i charakteru — nie był bynajmniej tą wiadomością uradowany. Starał się o ile możliwości tuszować swą pomyłkę i rozczarowanie, żeby nie robić Natalce przykrości. Musiał przecież uszanować jej dobre chęci.

— Wyobraź sobie — mówiła tymczasem Natalka — że zaraz w obiad wpadła do mnie jak bomba. Niby tak sobie — zwyczajnie, żeby się dowiedzieć co słyhać. Ale ja wiem, że wszystko w niej aż kipi. I była zachwycona, żeś nie dał nic po sobie poznać, żeś głównie Jance dotrzymywał towarzystwa. W ten sposób nikt się nie domyślił, że cała uroczystość była urządzona na waszą intencję.

Cóż miał Roman robić? Nie mógł przecież wobec panny „o wielkich zaletach umysłu i charakteru” okazać się gburem, toteż zaprosił obie panie do teatru.

Tak się zaczęło klecić. Chodzili — w większym zazwyczaj gronie — do teatru i kina, odbywali spacer, urządzali wieczorki towarzyskie. Z czasem przekonał się Roman, że panna Zosia, która za pierwszym razem wydała mu się osobą raczej cichą, potrafi się zdobyć na wiele wojowniczości. To go nawet zaczęło z lekka od niej odstręczać: godność mężczyzny nie pozwalała mu zbyt często czuć się ofiarą zapędów samodzielności tego — jak się okazało — mocno zadziornego stworzonka. Mężczyzna nie może ścierpieć, gdy kobieta usiłuje — w jakiegokolwiek dziedzinie — zapędzić go w kozi róg, a to się, niestety, nierzadko pannie udawało. Toteż starał się być, owszem, jak najpoprawniejszy ale chłodny. Niewiele miał zresztą z owej poprawności i chłodu pożytku, bo z tygodnia na tydzień czuł wyraźniej, że panna Zosia jest w nim coraz bardziej zakochana. Po kilku tygodniach, gdy jej matka z coraz większą serdecznością i coraz częściej zaczęła zapraszać go na kolację, stwierdził, że zabrnął trochę za daleko, że zaczyna być w jej domu traktowany jako narze-

czony, na którą to rolę nie miał najmniejszej ochoty. Toteż postanowił możliwie najdelikatniej wycofać się z tej afery.

Na szczęście musiał na przeciąg kilku tygodni wyjechać. Gdy po powrocie nie kwapił się zbyt do nawiązania stosunków na dawnej płaszczyźnie, intencja jego została zdaje się właściwie zrozumiana, bo panna Zosia najwyraźniej ochłodziła, a i komunikaty Natałki na jej temat stały się rzadkie i lakoniczne.

Projekt Natałki, aby wspólnie spędzić urlop, skłonny był uważać za pomysł panny Zosi — jako ostatnią z jej strony próbę do ponownego nawiązania tego, co zdawało się nieodwołalnie rozlatywać. Oczywiście wszystkie zabiegi około zorganizowania towarzystwa wzięła na swą głowę Natałka. Roman przez przeciąg kilku tygodni nie widział swej „narzeczonej” na oczy. Przystał na ten projekt niechętnie, choć od dawna było wiadomo, że pragnie się wybrać na narty i że w tym celu zagwarantował sobie w biurze urlop w okresie zimy.

Pocieszał się zresztą, że w górach — z dala od miasta i nawyków codzienności, łatwiej mu się uda postawić sprawę ostatecznie i zdecydowanie. Na szczęście panna Zosia zachowywała się zawsze rozsądnie: nie przewracała oczami, nie stroiła właściwych stanowi zakochania min, więc wszystko obędzie się bez scen.

Gdy znalazł się w Zakopanem, zastał już całą paczkę na miejscu tudzież dokładny plan, co i kiedy mają robić. Sylwestra mieli oczywiście spędzić na Hali Gąsienicowej.

Towarzystwo było beztroskie, roześmiane, opalone na zimowym słońcu. Zanim rozruszał się na dobre, czuł się Roman wobec nich po trosze jak mieszczuch. Ale rychło wrócił do formy i zaczął szaleć na nartach.



<http://rein.org>

Panna Zosia jeździła na nartach jak młoda bogini. To znaczy: nie tyle sprawnie ile ładnie jak bogini. Gdy zobaczył ją pierwszego zaraz dnia, ubraną w doskonale skrojony ciemno-wisniowy kostium, stanął jak wryty: jak mógł — bałwan! — nie spostrzec dotychczas, że panna Zosia ma czarujący wprost uśmiech, że jest zgrabna jak łania, że oprócz „zalet charakteru” posiada także rozliczne zalety bardziej uchwytniej i bardziej cenionej natury. Zbyt pełne policzki i trochę za małe choć pełne wyrazu oczy można ostatecznie darować: żona nie musi być przecież premiowaną pięknnością.

Bo zaraz pierwszego dnia cały jego starannie pielęgnowany zamiar wziął w łeb. Oczywiście, że się z Zosią, ożeni. Jak to jednak dobrze, że „dał się namówić” na ten wyjazd. Życie zaczęło mu się wydawać niesłychanie proste i piękne. Denerwował go, co prawda, jakiś czarny typ — piękny jak amant filmowy — który, jak na jego gust, trochę za często towarzyszył im na wycieczki, ale cóż go wreszcie obchodził cały świat.

Panna Zosia wydawała się uszczęśliwiona. Ta w mieście szara jakaś, nieefektowna, wojownicza, co prawda, ale zawsze poprawna panienska — tu, wśród słońca i gór, jakby nagle ożyła. W oczach jej każdego ranka zapalały się iskierki radości, nadając im jasną, jakąś przejrzystość. Romana traktowała z dużą rezerwą, co skłonny był kłaść na karb jej kobiecej dyplomacji. Coraz częściej, co prawda, irytował go ów czarny bałwan — zjawiał się zawsze w najmniej odpowiedniej chwili — uśmiechy panny Zosi, skierowane do niego, przyjmował jednak z pokorą, jako karę należną za swą poprzednią opieszałość.

— Cóż to za idiota? — zagadnął któregoś dnia Natalkę.

— Kto?

— No ten... murzyn.

— To jakiś kresowiak. Gruzin z pochodzenia. Bardzo miły chłopak.

Widać było, że nie ma ochoty na wszczynanie dłuższej rozmowy. Zdaje się, że sama została przez niego lekko drażnięta po sercu.

Cóż miał sobie zresztą zawracać owym Gruzinem głowę! Alboż sam nie był szczęśliwy! Oto jutro Sylwestra — Gruzin miał spędzić noc Sylwestrową w swoim towarzystwie — pojedą na Halę, wytańczy się z Zosią, ile dusza zapagnie: to już sobie obiecywał, choć wydawać się mogło chwilami, że panna Zosia raczej niechętnie z nim tańczy.

Wybrali się zaraz po obiedzie, aby przed wieczorem panie mogły dobrze wypocząć w schronisku. Panna Zosia jechała, oczywiście, przodem, a Roman tuż za nią, jej śladem. Choć raz mógł bez najmniejszych przeszkód trzymać się tak blisko jej osoby. Jakże marzył, aby panna Zosia choć raz wykropiła się w śnieg, by mógł pomóc jej przy wstawaniu. Nie dane mu było jednak to szczęście — właśnie dziś, gdy odbiwszy się od reszty towarzystwa, po raz pierwszy znaleźli się sami. Panna trzymała się na deskach jak przyklepiona do śniegu. Gdy zjechali na Halę, nie zboczyła nawet do schroniska i krzyknąwszy towarzyszącej, że ma ochotę jeszcze zrobić spacer do Czarnego Stawu, skierowała się od razu w tę stronę. Roman puścił się oczywiście za nią.

— Pan także? — zapytała krótko.

— No naturalnie!

— Nie potrzeba mi opieki. Nie zginę, niech się pan nie obawia.

Oczywiście, nie mogła nic innego powiedzieć. Kobiety z charakterem chorują na zbytnią samodzielność. Ale po cóż by puszczała się tak od razu — bez chwili wytchnienia — w dalszą drogę? Wiedziała przecież, że reszta towarzystwa jest już spuchnię-

ta. I ona więc pragnie spędzić jakąś godzinę sam na sam, z dala od koleżanek i kolegów.

Po tym spacerze obiecywał sobie Roman wiele. Musi jej w tej godzinie wyjaśnić wreszcie wszystko, powiedzieć wyraźnie, że ją kocha. Ale jakże tu rozmawiać podczas jazdy, gdy szerokość ścieżki zmusza do trzymania się w pewnej odległości, a wiatr głośzy każde słowo. Zatrzymają się przecież w końcu. Panna Zosia nie będzie przez cały czas pędziła jak opętana.

Gdy dojeżdżali już prawie do Czarnego Stawu, los okazał przecież Romanowi trochę łaskawości. Na garbie terenowym o dosyć stromym zboczu panna Zosia wywaliła się jak długa. Cóż może być przyjemniejszego dla zakochanego, jak wygrzebywać swoją wybrankę ze śniegu! Podskoczył Roman skwapliwie i zaczął — oczywiście — od tego, że chwycił pannę Zosię za ręce, tudzież, przyklękawszy błyskawicznie na śniegu, pocałował ją w zaróżowiony policzek.

Bodajby nigdy był tego nie uczynił! Panna Zosia siadła tylko na śniegu, nic więcej — tylko spokojnie siadła, a przecież uczyniła to jak furia.

— Co pan chciał przez to powiedzieć?

Rozmaicie może kobieta zareagować na niespodziany pocałunek mężczyzny. Może przytulić się do jego piersi, może z oburzeniem wytrzepać go piękną rączką po policzku. Panna Zosia natomiast zapytała, co chciał przez to powiedzieć. Bo panna Zosia była kobietą, z charakterem!

Cóż innego może mężczyzna chcieć „przez to” powiedzieć! Ale w głosie panny Zosi był taki jakiś stanowczy i zimny ton, że odpowiedź Romana zamarła mu gdzieś w ścisku krtani.

Nie mogąc się zdobyć na odpowiedź, postanowił za to konsekwentnie działać. Wypróbowane od wieków doświadczenie mówi, że im kobieta bardziej się oburza, tym więcej pragnie pocałunku mężczyzny,



<http://rcin.org.pl>

toteż uśmiechnął się i, nie bacząc na błyskawice gniewu w jej trochę za małych choć pełnych wyrazu oczach — chwycił ją w ramiona i usiłował pocałować po raz drugi.

Ale cóż znaczy wypróbowane od wieków doświadczenie! Panna Zosia wyrwała się gwałtownie z jego ramion i, nim Roman zdołał się zorientować co się dzieje, zamiast gorących ust uczył na wargach mroźne dotknięcie śniegu. Panna Zosia stała wyprostowana i poprawiała beret na głowie.

Zdawało mu się nawet, że uśmiecha się lekko. Niezbadane są doprawdy tajniki duszy kobiecej!

Wygrzebawszy się ze śniegu, uśmiechnął się także i usiłował spojrzeć w jej oczy. Ale panna Zosia zdawała się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi i spokojnie otrzepywała śnieg z wiatrówki.

Ponieważ wyglądało na to, że samo spojrzenie i uśmiech nie wystarczą, trzeba było podeprzeć je jakimś gorącym słowem.

— Gdy człowiek patrzy na panią...

Ale nie skończył nawet zdania, bo panna Zosia odpałała zaraz:

— To lepiej niech „człowiek” nie patrzy.

Romana chwyciła najzwyczajniejsza w świecie złość. Wyrwał naprzód jak oparzony. Jednym susem zjechał przez odkryte zbocze, opadające łagodnie ku dolinie.

Dobrze! Nie spojrzysz na nią więcej. Jak to jednak przy kobiecie traci się cały hart. Gdyby postanowienia człowieka mogły być równie silne jak jego pasje — Roman nie spojrzalby już nigdy na żadną kobietę.

Na razie cieszyła go sama radość pędu. Cóż może być przyjemniejszego nad rozkosz pokonywania przestrzeni, gdy wicher smaga twarz, a las w dolinie obiecuje ciszę po burzach serca i spoczynek po wysiłku.

(C. d. n.)

Andrzej Kordecki

PODPITNIAK

POTICE

I ŻGANCI

Wigilia Bożego Narodzenia! Piękna ziemia słoweńska uśpiona pod śniegiem, ani wiatr porusza gałęzie drzew, ani jakiś głos przerwie ciszę zamglonego krajobrazu. W cbejściu ożywienie od łana.

Szczególnie dzieci są niespokojne. Chociaż na dworze zimno, nie cisną się do wielkiego pieca w izbie, lecz wybiegły do lasu. Muszą znaleźć mech i gałązki świerkowe do szopki, którą brat-uczeń po południu ustawi.

Matka cicszy się, że dzieciaków nie ma: tyle pracy w domu, porządki, trzeba upiec „potice” i „podpitniak” — wielki bochen chleba z mąki pszennej, jaj i mleka, który przyozdobi stół na całe święta. Chociaż i dziewczyna pomaga, mało mają czasu. Ojciec gospodarza pojechał do kościoła po wodę święconą — nikt kobietom nie przeszkadza.

Okrzyki dzieci zwiastują powrót z lasu. Najmniejszy chłopak płacze z zimna, inne drżą, ale w oczach błyszczy szczęście i zadowolenie: zebrali całą kobiałkę mchu i niosą go teraz aby wysuszyć na piecu. Matka, która wsadziła już „potice” do pieca, ściąga z nich okrycie. Nie rozsiadły się jeszcze na dobre, a już słychać zbliżające się dzwonki sanek.

Brat przyjechał — młodszy zapomniał o płaczu, wszystkie dzieci wciągają z powrotem wilgotne buty i wybiegają na podwórze.

Student, obejmowany, całowany przez rodzeństwo, wyłazi z ośnieżonych derck, pozdrawia ojca, cała rodzina zebrała się na podwórzu, wszyscy obrzucają się pytaniami, aż matka musi przypominać o posiłku.

W izbie stół już zastawiony, dziewczyna przynosi „żganci” w garnku. Po krótkiej modlitwie jedzą wszyscy z jednego garnka, słuchając opowiadań syna o mieście i szkole.

Trzeba się śpieszyć, aby szopka była gotowa na czas i izba uprzątnięta. Zaczyna się wspólna praca wydobywania kukielek, figurek i ozdób — z kufra braterskiego i ze starych skrzyń. Jest wśród nich cała Święta Rodzina ulepiona z gipsu, jaką dotychczas widziano tylko w kościele. Córki wyciągają jakieś postacie z kolorowego papieru, student ustawia je, najmłodszym wolno tylko patrzeć na te cudowności.

Nadchodzi zmierzch. Izba już uprzątnięta przez matkę i dziewczęta, z sieni wynosi ojciec wielki garnek. Wszyscy się schodzą. Gospodyni nakłada nieco żarzących się węgielków do garnka, przysypuje je kadzidłem i podaje mężowi, a sama bierze naczynie z wodą święconą. Potem wszyscy obchodzą dom i zabudowania. Gospodarz okadza, żona kropi każdy zakątek, szepcząc przy tym różaniec i litanie a wszyscy odpowiadają. Po powrocie do izby resztką popiołu zostaje sprzątnięta do pieca, student zapala świece koło szopki. Modlitwy dobiegają końca. Dziewczyna stawia na stół talerz kaszy jaglanej. Ale dziś nikt nie śpieszy się z jedzeniem.

Matka podsuwa orzechy, dziadek ciągnie powoli swoje opowieści to z wojny tureckiej, to z czasów pańszczyźnianych, kiedy chłop był poddanym u dziedzica. Wszyscy są tak przejęci, że nikt nie zauważył, jak dziewczyna wymknęła się z izby. Biegnie do strumienia za wsią: może w tafli wody zobaczy twarz swego przyszłego narzeczonego. Nie boi się ciemności, gdyż wie, że w Świętą Noc anioły chodzą po ziemi i strzegą biednych.

Z kościoła parafialnego zaczynają dzwonić na pasterkę. Zanim wyjadą, matka układa dwoje najmłodszych, które już pousypiały na kolanach, do łóżka. Ci, co wybierają się na nabożeństwo, ubierają się w futra. Tylko dziadek zostanie, aby pilnować domu. Ojciec zapala pochodnię i przy jej świetle prowadzi rodzinę do kościoła.

Ze wszystkich domów wychodzą ludzie z płonącymi pochodniami, kościół rozbrzmiewa skocznymi melodiami kolęd. Z dziedzińca kościelnego padają trady-

cyjne wystrzały ze starego moździerza. Parobek odbiega od gospodarzy, aby choć trochę pomajstrować przy strzelaniu.

Kościół powoli zapełnia się. Proboszcz, ubrany bardziej odświętnie niż zwykle, celebrowa przy ołtarzu, śpiewacy śpiewają raźniej niż w zwyczajną niedzielę, a wszystkich ogarnia podniosłe wesele, kiedy z chóru rozlega się: „Pastirei vi, Raj se vam idi”.

Pasterka kończy się szybko jak sen i cały tłum rozchodzi się do domów wśród dzwonienia i wystrzałów z moździerza.

Post wigilijny już się zakończył i matka wynosi usmażoną kielbasę. Zmęczeni, milcząc, żwawo jedzą i szykują się do snu. Ale tylko dzieci śpią w tę noc na łóżku, dla dorosłych dziewczyna rozłożyła już na podłodze słomę: wszak sam Chrystus spał tej nocy na słomie w żłóbku.

Dodzwaniają jeszcze dzwony, ale już nie słyszy ich rodzina pogrążona w głębokim śnie.

Rano wstają wszyscy zawczasu, aby wysłuchać jeszcze z mszy. Potem czeka na nich obfity obiad. Po obiedzie pozostaje cała rodzina w domu, gdyż nikt nie powinien go opuszczać w pierwszy dzień Świąt. Syn gość przygotował na to popołudnie niespodziankę: tombole.

Nowa rozrywka podobała się i wkrótce już wszyscy bawią się wesoło. Potem matka odczytuje, jak — co dnia w ciągu całej zimy — rozdział z „Żywotów Świętych”.

W drugi dzień świąt, na św. Szczepana, dzieci udają się do kościoła, by u drewnianych koni i krów przy żłóbku Dzieciatka prosić o dobry chów bydła.

Okres Świąt ma się ku końcowi. „Podpitniak” zostaje w dzień Trzech Króli przelamany i zjedzony. Każde żywe stworzenie domu — człowiek, bydło, drób dostaje część. Dopiero 2 lutego, w dzień Oczyszczenia Marii Panny, rozbiera się szopkę, ale brat-student, który ją skonstruował, już od dawna jest z powrotem w szkole, a całe gospodarstwo szykuje się już do wiosennych robót w polu.

TO I OWO

Nowy rodzaj druku, polegający na fotografowaniu tekstu, pozwala zmieścić 150 stronlic zwykłej książki na kartce wielkości jednej strony, a przyrząd do czytania (coś w rodzaju mikroskopu) powiększa litery do normalnej, czytelnej wielkości. Wydaje się, że z bibliotek znikną w przyszłości zarówno półki, jak i grube tomy.

W każdym amerykańskim aparacie telefonicznym znajduje zastosowanie 18 różnych materiałów sprowadzonych z obcych krajów. Do konstrukcji jednego samochodu używa się 300 różnych materiałów z 56 obcych krajów.

Z 13 milionów murzynów amerykańskich ok. 12 milionów ma przynajmniej jednego białego przodka.

W roku 1929 eksport Stanów Zjednoczonych do W. Brytanii, liczącej 47 milionów mieszkańców, osiągnął sumę 841 milionów dolarów, a do Chin, liczących 450 milionów ludności, tylko 124 miliony dolarów.

Ilość aparatów telefonicznych w Stanach Zjednoczonych wynosi ok. 27 milionów. Aby na całym świecie stosunek ilości telefonów do liczby ludzi był taki sam, jak w Stanach, trzeba by wyprodukować ok. 350 milionów aparatów telefonicznych.

Stany Zjednoczone posiadają ok. 57 milionów aparatów radiowych. Aby radio w tym samym stopniu rozpowszechnić na całym świecie, trzeba by ich wyprodukować około 600 milionów.

Jedynym wielkim krajem chrześcijańskim, który do dzisiejszego dnia nie posiada ustawy o przymusowym kształceniu dzieci, jest Hiszpania.

Indie liczą ok. 400 milionów mieszkańców, a mogą wyżywić zaledwie połowę tej liczby. Resztę muszą dostarczać Anglicy.

Przyrost naturalny w Indiach wynosi 5 milionów rocznie. W roku 1960 będzie wynosił 12 milionów rocznie.

W czasie trzęsienia ziemi w Tokio i okolicy, w roku 1923, wyspa Oszima obsunęła się ok. 4 m.

W czasie trzęsienia ziemi na Alasce w roku 1899 skały uniosły się na wysokość ok. 16 m.

W czasie trzęsienia ziemi w Kalifornii, w roku 1906, część terenu przesunęła się o prawie 7 m.

Cztery lata temu ziemniaki nie były znane w Europie. Znaleźli je po raz pierwszy w w. XVI hiszpańscy zdobywcy Ameryki Południowej w krajach, które dzisiaj noszą nazwy Kolumbii, Ekwadoru, Peru, Boliwii i Chile. Po sprowadzeniu ich do Europy przez długi czas uważane były za roślinę interesującą, ale bezużyteczną. Zaczęto ich używać powszechnie nie dawniej jak sto lat temu.

Jakkolwiek Hiszpanie zupełnie nie interesowali się odkrytymi przez siebie ziemniakami, poszukując raczej drogich kamieni i złota, to jednak dzisiaj wartość rocznego spożycia ziemniaków na świecie przewyższa wartość wszystkich klejnotów i złota, wydobytego przez Hiszpanów w ciągu wieków z ich bogatego imperium.

W Stanach Zjednoczonych wyna-
lezione „wełnę elektryczną”, której
używa się do wyrobu kołder. Zmniej-
szając lub zwiększając dopływ prą-
du elektrycznego do kołdry, można
dowolnie regulować jej temperaturę.

W Rosji (państwo „proletarłac-
kie”) w tej samej fabryce, w której
robotnik otrzymuje średnio 1.500
rubli rocznie, dyrektor posiada upo-
sążenie roczne 24.000 do 36.000 rubli.
W Stanach Zjednoczonych (państwo
„wielokapitalistyczne”) natomiast,
tam, gdzie zwykły robotnik zara-
bia 1.200 dolarów rocznie, jego dy-
rektor dostaje 10.000 do 15.000 do-
larów w tym samym okresie. Jak
widzimy, proporcja minimalnych
i maksymalnych zarobków w Rosji
jest dwukrotnie większa, niż w Sta-
nach Zjednoczonych.

81 pasażerów, mogących siedzieć
w czasie podróży w wygodnych fo-
telach, zabiera amerykański samolot
luksusowy „Stratocruiser”.

We Włoszech ukazuje się obecnie
2587 dzienników. W Stanach Zjed-
noczonych wychodzi ich zaledwie
2000 w języku angielskim oraz 1300
w innych językach. Łączny nakład
wszystkich dzienników amerykańskich
wynosi 47 milionów egzemplarzy.

W bieżącym miesiącu ruszyć ma
pierwszy pociąg na linii Paryż-We-
necja. W Mediolanie jeden wagon ze
składu tego pociągu dołączony bę-
dzie do pociągu idącego w kierunku
Rzymu.

W najbliższym czasie ruszą po-
ciągi na linii Paryż-Wiedeń-Praga
oraz Paryż-Berlin-Kopenhaga.

B. minister brytyjski dla spraw
żywnościowych J. J. Llewellyn oświad-
czył, że na świecie brak 2,5 milio-
nów ton mięsa, 1,4 ml. ton cukru
i 1 milion ton tłuszczów. Braki
trwać będą co najmniej przez trzy
lata.

W jednej z klinik chirurgicznych
w Chicago lekarze zdołali utrzymać
przy życiu pacjenta w ciągu 46
dni, nie dając mu ani razu poży-
wienia, a karmiąc go jedynie za po-
mocą zastrzyków. Dziś pacjent opu-
ścił już klinikę — zdrowszy niż przed
chorobą.

Nie tylko wśród ludzi wojna spo-
wodowała milionowe straty. Pół mi-
lioną ptaków wyginęło w czasie dzia-
łań wojennych na wyspie Bonin. Na
wyspach okolicznych przestało zu-
pełnie istnieć kilka rzadkich gatun-
ków ptaków.

Sposoby reklamy są w Ameryce
coraz śmielsze. Na Broadwayu właś-
ciciel zakładu perfumeryjnego prze-
budował wejście sklepu, dając mu
kształt flakonu perfum. W jednej
z wytwórni soku pomarańczowego
ustawiono olbrzymich rozmiarów
szklankę z sokiem. W szklance tej
zmieściłoby się co najmniej 10 osób.
Nad jedną z ulic Broadwayu wiszą
w powietrzu skrzyżowane dwa papie-
resy; długość każdego z nich prze-
kracza 15 mfr.

Inż. amerykański Norman Davidson
skonstruował auto-samolot-ambię.
Maszyna może jechać po ziemi,
płynąć po wodzie i latać w powie-
trzu.



CZARODZIEJ Z HOLLYWOOD

W dziejach X-iej Muzy film rysunkowy zajmuje osobny rozdział. Jeśli film zwykły tu i ówdzie schodził (i schodzi) na manowce, daremnie i niepotrzebnie rywalizując z teatrem, jeśli, schlebając niewybrednym gustom, obijał się wciąż o tematy romansów kryminalnych czy kowbojskich przygód — film rysunkowy powoli, lecz konsekwentnie i uczciwie kroczył własną drogą rozwoju. Szedł, doszedł i — zwyciężył.

Bo film rysunkowy potrafił wykorzystać największy atut kinematografii — nieograniczone możliwości realizowania zjawisk nie dostępnych teatrowi. Jakie iluzje, złudzenia może dać teatr z jego ubogimi środkami technicznymi? Teatr uwięziony jest w żelazne ramy czasu, przestrzeni i miejsca, zaś film jest niczym nie skrępowany. Bujać może w obłokach, zaglądać w głębiny mórz, przenikać przez najgrubsze mury. Może z gwarancją pełnego złudzenia odtworzyć na ekranie potop biblijny, męczeństwo chrześcijan w cyrku Nerona, katastrofę w San Francisco czy ostatnie chwile Pompei. Film rysunkowy może dać jeszcze coś więcej: może pokazać to, co nie istnieje, co jest tylko wytworem ludzkiej wyobraźni.

„Rysunkówka” ma wolny wstęp do królestwa fantazji. To wszystko, co pod wpływem czarodziejskich bajek wyobrażaliśmy sobie — możemy oglądać w filmie rysunkowym. Mądre a zabawne zwierzęta z bajek Lafontaine czy Krasickiego żyją i przemawiają do nas z ekranu. Żyją groźne smoki i zaczarowane królowny, bazarzkuj krasnoludki i śpiewają syrenki z bajek Andersena i Grimma. I jeszcze inne zwierzęta, inne stwory baśniowe, których nie znaliśmy dawniej, bo urodziły się dopiero teraz. Sny stają się rzeczywistością i przychodzą na zawołanie. Fantazja, nawet najbujniejsza, zostaje zrealizowana w filmie rysunkowym.

A widzimy wszystko piękniej, dokładniej i plastyczniej, bo te wizje stworzyła nie uboga fantazja przeciętnego człowieka, ale wielki artysta, genialny plastyk poeta linii, ruchu i barwy. Nazwisko tego czarodzieja brzmi Walt Disney. On to stworzył dla nas figlarną myszkę Mickey Mouse, zabawnego kaczoza Donalda, psa Pluto, trzy świnki i tyle, tyle innych fantastycznych figurynek. On wskrzesił w całej baśniowej urodzie Śnieżkę i Guliwera, Kopciuszka i Pinocchia.

Sprawiedliwość każe wspomnieć

w tym miejscu najzdolniejszego z poprzedników Disneya, jednego z niezliczonych pionierów tej skomplikowanej sztuki — Dave Fleischera. Twórca Betty Boop, kocura Feiksa i innych pamiętnych sylwetek niewątpliwie utorował drogę Disneyowi. Fleischerowscy bohaterowie pasjonowali już wtedy publiczność całego świata, zdobyli popularność na równi z żywymi gwiazdami Hollywoodu.

Ale dopiero geniusz rysunkowy Disneya, jego niesłychana pracowitość, pomysłowość i płodność podniosły film rysunkowy do obecnego poziomu. On to ze swoim sztabem fachowców udoskonalili technikę produkcji, doprowadził płynność ruchów do szczytu możliwości. Ale przede wszystkim, jako wielostronnie utalentowany twórca, podniósł poziom artystyczny „kreskówki”. W jego filmach obok groteskowego humoru objawiło się prawdziwe piękno, zabłysła tu i ówdzie prawdziwa poezja. Pojawiły się pełnometrażowe filmy rysunkowe i — wbrew przewidywaniom — nie tylko nie nudyły widza, ale „wywołały niemal jednogłośnie zachwyt całego świata. Powoli filmy Disneya znalazły miejsce i dla poważnej muzyki. Disney ilustruje Bacha, wprowadza Beethovena, Czajkowskiego i innych. Do najbardziej udanych ilustracji zaliczyć trzeba tańce kwiatów w suicie Czajkowskiego i wprost świetną ilustrację poematu muzycznego Cezarego Francka w „Uczniu czarnoksiężnika”.

Disney eksperymentuje z nieślabnącym zapałem. W ostatnim okresie wojny zdołał „sfilmować” książkę słynnego amerykańskiego



konstruktora samolotów mjr. Seversky'ego p.t. „Skrzydła Zwycięstwa”. I stworzył porywający poemat o potędze lotnictwa.

Film rysunkowy w jego obecnym stadium rozwoju jest wynikiem gigantycznej pracy dziełem skomplikowanego wysiłku zbiorowego. Skąpe wiadomości, jakie przedstają się na zewnątrz z laboratorium wielkiego maga fantazji, budzą zarówno sensację, jak podziw dla jego twórczości.

Laikowi wystarczy nadmienić, że każde „okienko” filmu stanowi osobno dokonane zdjęcie z oddzielnego rysunku. Każde następne „okienko” to dalszy rysunek z kolejnym wariantem ruchu, światła i wyrazu twarzy. Przeciętna krótkometrażówka (dodatek) składa się z mniej więcej 45.000 rysunków (okienek). Film pełnometrażowy (ok. 2.500 m.) składa się więc z przeszło pół miliona rysunków.

Toteż w pracowniach Disneya (20 pawilonów na przestrzeni 20 ha.), prócz sztabu technicznego —

elektrycy, maszyniści, operatorzy itd. — urzęduje 1.200 (!) rysowników, których zadaniem jest rozkładanie na poszczególne ruchy obrazków, naszkicowanych przez samego mistrza. W „departamencie kolorów” ok. 200 dziewcząt sortuje, miesza i wydaje farby. Tyleż prawie osób zatrudnia dział modelatorsko - makietowy. A gdzie muzycy? Gdzie liczni aktorzy i śpiewacy, którzy rysowanym postaciom użyczają swego głosu lub pozują do ruchów?

Duszą i mózgiem tej cudownej fabryki snów jest sam Walt Disney, wielki czarodziej z Hollywood. Z jego talentu, z jego nieokiełzanej wyobraźni i mrówczej pracy powstałe, biegną w świat miliony metrów taśmy filmowej, w której zaklęta jest fantazja. A fantazja ta nie jest oderwaniem od życia. Jest jego okrasą i osłodą. Niesie wytchnienie i radość, uśmiech i łzę rozrzewnienia, zapomnienie i wiarę w cuda

Konrad Tom



SPORT

Polacy zwyciężają w Rzymie

Złośliwość wyników sportowych da się porównać do znanej złośliwości rzeczy martwych. Kiedyś — dawno, bo w zeszłym roku, niedotrenowana (Korpus był w akcji...) reprezentacja piłkarska 2. Korpusu przegrała w Rzymie z najlepszą drużyną angielską, jaka kiedykolwiek znajdowała się na terenie Włoch, „British Touring XI”, w przykrym stosunku 2 : 10. Wrażenie, skądinąd zupełnie normalnej przegranej z naprawdę doskonałym przeciwnikiem, zostało jeszcze spotęgowane przegraną pływaków Bazy 2. Korpusu do najlepszych pływaków (Amerykanów!) na wielkich Międzypolitycznych zawodach w Rzymie. Czarę goryczy sportowej wypełnił po brzegi ostatni występ naszych strzelców w Rzymie — na zawodach Międzypolitycznych.

Złośliwość wyniku sportowego, która każe najdłużej pamiętać... porażki, staje się jednak bezsilna wobec sukcesu. Sukces taki odnieśliśmy wreszcie: Polacy wygrali w Rzymie w silnej konkurencji alianckiej bieg na przelaj — dyscypliną sportową, szczególnie umiło-

waną przez Anglosasów. Kto wie, czym jest w brytyjskim sporcie powszechnie i masowo uprawiane: „cross country”, ten zrozumie wagę tego zwycięstwa.

Międzypolityczny drużynowy bieg na przelaj odbył się dnia 22 listopada. Trasa około 4 km. Startowało łącznie 135 zawodników w 15 zespołach po 9 zawodników w każdym. Reprezentowały one stacjonujące we Włoszech jednostki angielskie, szkockie, południowoafrykańskie i hinduskie. 2. Korpus wystawił tylko jedną, ale dobrze przygotowaną drużynę. Polacy zdobyli puchar, ufundowany przez „Rome Allied Commands”, przeznaczony dla zwycięskiej 9-tki. Drużyna polska okazała się zespołem najbardziej wyrównanym — 6-ciu Polaków (z każdej drużyny punktowano tylko 6-ciu) uplasowało się w pierwszej piętnastce. Polacy zajęli następujące miejsca indywidualne:

3-cie Adamiak z 5 KDP.,
5-te Rząpka z 3 DSK., 8-e
Barszczewski z 5 KDP., 9-te
Wiertelak z 3 DSK., 13-te
Tomaszewski z 3 DSK., 14-te
Maliszewski z 3 DSK., 23-cie

Mryka z 3 DSK., 26-te Adamski z 3 DSK. i ostatnie 51-e Piątkiewicz z 2 WDPanc. Indywidualnie bieg wygrał Płd. Afrykańczyk kpr. Crighton przed por. Good (Płd. Afryka) i Polakiem Adamiakiem. Ci trzej otrzymali nagrody indywidualne. Zwycięstwo drużynowe uzyskała Reprezentacja 2. Korpusu (52 punkty), bijąc Reprezentację 6 Dyw. Panc. Płd. Afryk. (60 punktów) oraz pozostałe drużyny angielskie, szkockie i hinduskie.

Przyjemny moment przeżyli Polacy podczas rozdania nagród, które wręczał osobiście

Komendant Rejonu Rzym, brigadier A. Low, honorowy starter biegu. Na 13 pucharów, wystawionych przy mecie biegu, Polacy zdobyli na stałe 11!

Następnego dnia Reprezentacja 2. Korpusu była przyjęta na podwieczorku przez Ambasadora R.P. przy Watykańie p. Papee, który okazał żywe zainteresowanie sprawami sportu w 2. Korpusie. Ukazujący się w stolicy Włoch dziennik angielski „Union Jack” zamieścił sprawozdanie, którego tytuł brzmi: „Polacy wygrywają Bieg Dowództwa Rejonu Rzym”. J. W.

Ze świata sportu

„Baharam”, słynny angielski koń wyścigowy, będący swego czasu własnością Aga Khany, dla którego wygrał „Derby” w 1935 roku, sprzedany został obecnie w Argentynie za sumę 130.000 dolarów.

Dwaj żołnierze amerykańscy Jack Mayer i Henry Schneider kupili w Bukareszcie konia za 20.000 lei, który następnie, wbrew przewidywaniom „speców”, wygrał kolejno szereg wyścigów, przynosząc swym właścicielom dotychczas sumę 10 milionów lei.

24 czerwca 1946 roku odbędą się w Sztokholmie międzynarodowe zawody między członkami... parlamentu szwedzkiego i fińskiego. Między innymi ze strony Finlandii w zawodach biorą udział: minister

Kekkonen (skok wzwyż) wiceprez. wodniczący parlamentu Pekkela (trójskok), przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Saarkhaho (skok o tyczce), deputowani Berner (800 m) i Leskinen (pływanie). W meczu piłki nożnej kapitanem drużyny szwedzkiej będzie premier Hansson.

W rządowych kołach Finlandii liczą się ze zwycięstwem polityków fińskich.

Drużyna moskiewska „Dynamo” rozegra w marcu 4 mecze piłki nożnej we Włoszech: w Mediolanie, Turynie, Rzymie i Bari.

Prasa brytyjska doniosła, że każdy z graczy „Dynamo” otrzymał po 1.000 funtów na głowę za udział w zawodach w W. Brytanii, gdzie jak wiadomo, „Dynamo” ostatnio rozegrała szereg spotkań.

„Stani“ Marusarz

Staszek Marusarz: mój dobry Boże, ile to miłych wspomnień wi że się z tym nazwiskiem, ile chwil emocji i niecodziennych przeżyć! Poznałem go dawno w Warszawie, ale bliżej żyć z nim udało mi się dopiero na Węgrzech. O Staszku pisano wiele i różnie. Mówiło się, że pracuje wspólnie ze zdrajcą Krzeptowskim nad organizowaniem „Goralenvolku” że jest w Palestynie, a nawet szwajcarskie pismo „Zuricher Zeitung” podało, że został zabity przez Gestapo. To były dzięki Bogu „kaczki”, a prawda wyglądała mniej więcej tak: Staszek na początku 1940 roku, razem z całą grupą zakopiańczyków, zgłosił się do organizowanych przez Niemców mistrzostw Zakopanego, co pozwoliło im zdobyć prawo posiadania nart. Parę godzin przed startem cała grupa właśnie na nartach ruszyła na Węgry. Udała się im ta eskapada.

Dziś wielu z nich nie żyje. Większość z nich padła na nowym posterunku kurierów granicznych, pełniąc jakże niebezpieczną służbę, inni — jak niezapomniany Broniek Czech, zmarli w więzieniach i obozach koncentracyjnych

— innym wreszcie Bóg przeżyć pozwolił. Staszek nie potrafił siedzieć bezczynnie. Gdy musi porzucić służbę kuriera, zaczyna znowu pracować jako trener - amator Węgierskiego Związku Narciarskiego. Za góralską szczerość zdobywa sobie serca całej narciarskiej rodziny węgierskiej.

„Stani”, bo taką pieśzcotliwą nazwą obdarzyli go węgierscy sportowcy, jest ulubieńcem zawodników, wzo-rem, jest kolegą-trenerem, surowym i wyrozumiałym jednocześnie.

Trzeba było widzieć skocznię narciarską na Szwabskiej Górze pod Budapesztem, poprawioną i rozbudowaną w myśl projektów Staszka, i jego samego skaczącego maksymalną możliwą do osiągnięcia na tej skoczni odległość 40 m.

Jego intensywna praca instruktorska dała rezultaty już po upływie jednego sezonu. Cały szereg młodych zawodników, przez niego wyszkolonych, zaczęło bić węgierskie rekordy, zgodnie podkreślając, że to jego, Marusarza, zasługa.

Co się dzieje ze Staszkiem obecnie — nie wiem.

T. Miedzanowski

HUMOR SPORTOWY

Podczas mistrzostw bokserskich 2. Korpusu, kiedy na ringu walczyli zawodnicy: Bazy i Jedn. Pozady (z żandarmerii) i reprezentant Bazy

był w ataku, na widowni rozległ się nagle krzyk:

— Co się dzieje, biją policję i nikt na to nie reaguje?

Gramy w Austrii

Reprezentacja piłkarska 2 Korpusu, która wyjechała do Austrii, pierwszy mecz rozegrała dnia 28 XI. 1945 r. w Gracu na tym samym stadionie, na którym przed wojną Reprezentacja Polski pokonała Austrię 3 : 1 w rozgrywkach o puchar Europy Środkowej. Przeciwnikiem była bardzo silna Reprezentacja Wojsk Brytyjskich w Austrii, składająca się wyłącznie z piłkarzy zawodowych takich klubów jak: Aston Villa, Priston, Wolves Wanderers itp. Kapitanem drużyny brytyjskiej był słynny Atkinson, jeden z „najdroższych” zawodowców angielskich.

Mecz był transmitowany przez radio w językach: angielskim, polskim i niemieckim. Sprawozdanie w języku polskim nadawał ppor. Krasoń za pośrednictwem rozgłośni Alpenland. Słuchaliśmy tej blisko 2-godzinnej transmisji i, mimo dokuczliwych trzasków, na jej podstawie mogliśmy odtworzyć przebieg meczu. Trzeba tu podkreślić, że była to pierwsza po 6-ciu przeszło latach polska audycja sportowa...

Zawodom przyglądało się ok. 7.000 widzów, wśród których była grupa Polaków - żołnierzy 2 Korpusu, którzy przebywają w Gracu na studiach uniwersyteckich. Stadion był udekorowany sztandarami W. Brytanii i Polski. Orkiestra zagrała przed meczem hymny państwowe obu narodów. Sędziował kapitan brytyjski Green.

W pierwszej połowie meczu gra była raczej wyrównana. Obie drużyny miały po kilka ładnych za-

grań i parę nie wykorzystanych sytuacji. Śliskie po deszczu boisko bardziej odpowiadało lepszym technicznie Brytyjczykom. Mimo to wynik do przerwy jest 0 : 0.

Po przerwie przez pierwsze 20 min. wynik nie ulega zmianie, dopiero w 21 minucie Atkinson, który przeszedł z pomocy na prawego łącznika, strzela pierwszą bramkę. W minutę potem Habowski (o ile wśród wzmierzonych trzasków mogliśmy dosłyszeć) wyrównuje. W następnej minucie Atkinson odyskuje prowadzenie 2 : 1. Te trzy minuty zadecydowały o wyniku meczu. Więcej bramek, mimo licznych obustronnych strzałów, nie padło. Mecz zakończył się ostatecznie zaszczytnym dla nas wynikiem 2 : 1 (do przerwy 0 : 0).

Reprezentacja Wojsk Brytyjskich w Austrii rozegrała przedtem szereg meczów z b. silnymi przeciwnikami i żadnego nie przegrała. Niedawno pokonała ona znaną drużynę austriackich zawodowców "Wacker" w stosunku 3 : 1. Wynik naszej Reprezentacji 2 : 1 jest jednym z najlepszych, jaki udało się komukolwiek uzyskać z Brytyjczykami w Gracu. Drużyna grała w następującym składzie: Czarniecki (3 DSK) w bramce, Stronczek (3 DSK) i Gemza (Baza) w obronie, Filipski, Junger i Wiśniewski — wszyscy z 3 DSK., na pomocy Kisiel, Kulawik, Szewczyk wszyscy z 3 DSK oraz Zakrzyński (5 KDP) i Habowski (Baza) w ataku.

Mar.

Transmisja meczu piłkarskiego w Austrii

(Fragmenty odebrane przez jednego z kibiców pancernych)

Hallo... hallo... proszę państwa... tego... chciałem powiedzieć... mecz... lewy... lewy... lewy łącznik... jest... tego... piłka będzie... nie, nie, nie będzie! Anglicy biją... biją kornera... Habowski ucieka... ucieka z piłką... Teraz ma... nie, nie ma, miał mieć, ale... ma! Obecnie już stracił... za to ma Anglik, podaje do przodu, prawoskrzydłowy centruje, jest groźna sytuacja pod naszą bramką Czarnecki się rzuca... Jest, proszę państwa, jest, a raczej, ma za chwilę być, sam pan generał, dowódca Armii angielskiej...

Obecnie piłka... trzeba zaznaczyć że zostało parę minut do końca boiska... Piłkę znów ma Habowski... prowadzi ją, jest sam na sam... prowadzi... nikt go nie atakuje, nikt nie przeszkadza... coś z tego będzie... strzela!... Ślicznie, pięknie... fenomenalny strzał!... Jest proszę państwa... Jest przerwa, a piłka zaledwie o piętnaście metrów minęła poprzeczkę...

Druga połowa meczu... proszę państwa?... Do przerwy było... nie proszę państwa nie było... było 0:0. Obecnie Gemza stacza pojedynkę z napastnikiem, wygrywa... wygrywa cztery kopniaki... Anglicy gniotą, gniotą, gniotą... wgnietli, wgnietli proszę państwa!... Jest jeden do zera... nie, proszę państwa, nasi już wyrów... Anglicy znów strzelili!... Jest 2:1 dla nich... Było bardzo... bardzo... w ostatnim momencie... Kulawik goni, piłka idzie na aut... nie... piłka się zatrzymała, Kulawik poszedł na aut... Mikunda podaje Szewczykowi na głowę, Szewczyk traci głowę... Kisiel... tego... idzie na gracza... wchodzi... znoszą kogoś z boiska... I tak dobrze, że dotychczas tylko jednego... Dopiero jedna ofiara...

W tym momencie wynieśli też od radioodbiornika zemdlonego kibica. Wynieśli go silniejsi nerwowo koledzy, mówiąc: jedna była ofiara meczu, lecz na pewno dużo więcej będzie ofiar transmisji radiowej.

Aha

W prasie obcej o nas

Jak dotychczas w prasie mało pisano o sporcie 2. Korpusu. Gazety brytyjskie wydawane na terenie Włoch, poza nielicznymi wyjątkami, — pisały o nas tylko wtedy, gdy drużyny nasze... przegrywały.

Pamiętamy mecz piłki nożnej pomiędzy reprezentacjami: 2. Korpusu i 8-mej Armii, wygrany przez nas 4:2 w Predapio nie doczekał się w prasie brytyjskiej nawet krótkiej wzmianki. Prasa włoska w ogóle nic o sporcie naszym nie pisała.

Od pewnego czasu jednak, sytuacja ta — na skutek poważnych osiągnięć sportu w 2. Korpusie — zmieniła się zdecydowanie na lepsze.

Po ostatnim sukcesie naszych reprezentantów w alianckim biegu na przełaj w Rzymie, angielski „Union Jack” zamieścił obiektywne i pochlebne dla nas sprawozdanie. Autor podkreślił, że walka odbyła się tylko pomiędzy Polakami i Południowo Afrykańczykami. Sukces Polaków podkreślono nawet w tytule sprawozdania „Polacy wygrywają bieg R. A. C.”

Największą naszą imprezą sportową, Igrzyska Sportowe w Anconie, odbiły się głośnym echem w prasie włoskiej. Dziennik sportowy „Corriere dello Sport” zamieszcza na pierwszej stronie bardzo obszerne sprawozdanie ilustrowane zdjęciami, oceniając wyniki i pokazy igrzysk jako bardzo dobre. W związku z przemówieniem gen. Andersa, wygłoszonym na igrzyskach, dziennik sportowy zdobył się również na przychylny dla nas akcent polityczny.

Włoski tygodnik „Italia Nuova” również na pierwszej stronie wydrukował obszerne sprawozdanie ilustrowane, podając prawie pełny tekst przemówienia gen. Andersa. Sprawozdanie miało charakter wybitnie życzliwy.

Prawdziwą niespodzianką było dla nas szczegółowe omówienie mistrzostw bokserskich 2. Korpusu w sportowym tygodniku włoskim „Il Ring”. Autorowi sprawozdania najbardziej podobali się z naszych bokserów: Polnik — za wytrzymałość i za ambicję, oraz Koprowski — za siłę ciotu.

J. W.

„CIĘZKA RĘKA”

Znany i popularny na terenie Warszawy bokser wagi ciężkiej Sowiński (185 cm. wzrostu, 110 kg. wagi) bał się ogromnie... swojej matki. Pani Sowińska nie opuszczała zad-

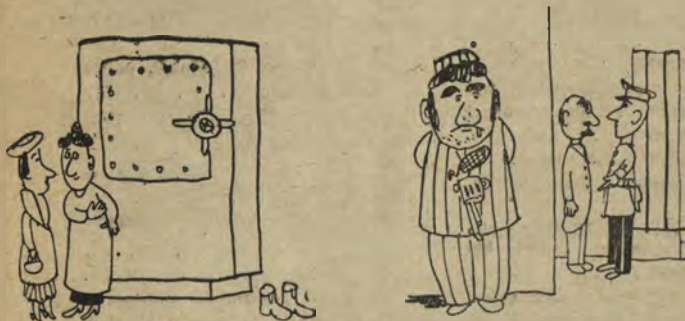
nego spotkania, w którym brał udział jej Czesio, a źle z nim było, gdy nie udało mu się wygrać. Mama miała niejednokrotnie „cięższą rękę” jak przeciwnicy.

Humor włoski



Konduktor: — Nie umie pan czytać? Przecież stoi jak wół: „Nie palić”.

Pasażer: — Ba! Także iak wół stoi: „Noście biustonosze „Kleopatra”. Czy pan je może nosi?
(„Comica”)

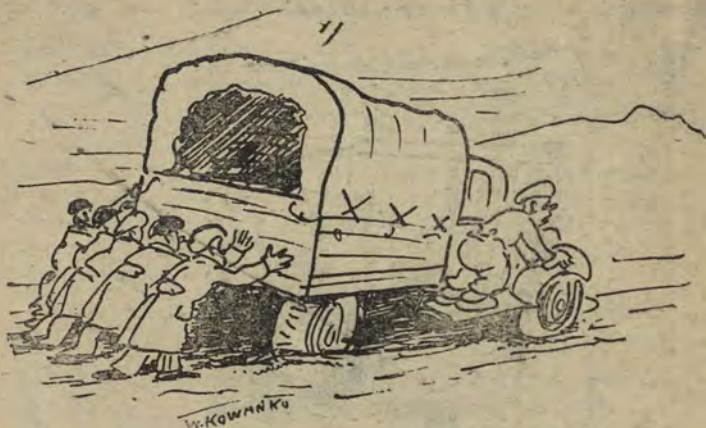


— A gdzie mąż pani?
— Czasy są niebezpieczne. Wieczorem zamykam go w kasie ogniotrwa-
tej. Ma złoty ząb!

(„Comica”)

— Mówi, że nie chce się z nim roz-
stać, bo to najdroższa pamiątka po
mamusl.

(„Comica”)



Jeden z pchających: — No złaż ze stopnia i pomóż także.

Franek (ze stopnia): — Nie widzisz, że pcham? Ale po co mam zaraz zabłócić buty? (ab)

Treść numeru:

Rozkaz Dowódcy 2. Korpusu str. 1	A. Korecki: 18 km. do szczęścia „ 38
A. Rusiło: Walka trwa „ 2	B. Ticko: Podpitniak, potlice i żgańci „ 49
K. Junosza: Rok wielkich wydarzeń i niespełnionych nadziei „ 7	K. Tom: Czarodziej z Hollywood „ 54
J. Liebert: Pasterka „ 12	JW.: Polacy zwyciężają w Rzymie „ 57
Z. Górski: Sabotażowe jasełka „ 13	T. Miedzianowski: „Stani” Marusarz „ 59
Kaloma: W. Niderlandach „ 20	Mar: Gramy w Austrii „ 60
J. Olechowski: Drzwi bez klamki „ 26	Aha: Transmisja radiowa „ 61
J. Bielawicz: Siły pisarskie 2. Korpusu „ 30	J. W.: W prasie obcej „ 62
M. Bohusz-Szysko: Odrzwia katedry pizańskiej „ 35	Wiadomości różne . 33, 52, 58
	Humor 17, 25, 29, 36, 37, 59, 62, 63

Wyd. Oddział Kultury i Prasy

2. Polskiego Korpusu

Odbito w Drukarni Polowej 2. Polskiego Korpusu

Adres Redakcji i Administracji:

Polforces CMF 02



<http://rcin.org.pl>

P.
614

